# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor.—16 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA. KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop.

Rok III. Kraków, 8 września 1906 r. Nr. 36.


# Dzisiejsza Warszawa.

(Treść na stronie 2).



# Dzisiejsza Warszawa.

(Do illustracyi tytułowej).

Stan wojenny, zawieszony nad Warszawą od kilku miesięcy, zmienił ogromnie zewnętrzny wygląd tego ruchliwego, prawdziwie europejskiego miasta. Pomimo tego stanu wojennego, pomimo energicznych na pozór zarządzeń władz, anarchia w syrenim grodzie wzrosła, partye rewolucyjne walczą dalej, bandytyzm rozszalał się po prostu.



**Napad na konsula hiszpańskiego:** Jeneralny konsul hiszpański w Warszawie, adwokat przysięgły Lewenberg, w uniformie dyplomatycznym, znieważony na ulicy Krakowskiem Przedmieściu, przez żołnierza z oddziału wawerskiego pułku piechoty.

Władze, jakkolwiek wysilają się na wszelkie możliwe sposoby represyi, nie mogą jednakże przywrócić choćby częściowego porządku. I zwykle dzieje się w ten sposób, że na represyach cierpią najwięcej ludzie zupełnie niewinni, podczas gdy rabusie i rzezimieszki zawsze jakoś szczęśliwie wychodzą ze wszystkich opałów. Swiadczy o tem krwawa kronika z codziennego życia Warszawy, zapełniająca szpalty pism tamtejszych i zagranicznych. Doszło do tego, że właśnie podczas stanu wojennego bezpieczeństwo osób na ulicach i w domu stało się prawie legendarnem. Dzisiaj nikt nie jest w syrenim grodzie pewny swego życia. Każdemu grozi podwójne niebezpieczeństwo: albo padnie od browningowej kuli rabusiów, albo od karabinowego strzału żołnierzy, podczas salw, dawanych za uciekającymi opryszkami.

Przedpołudniem w sobotę ruch panował w mieście zwyczajny. Uwagę zwracały jeno ciągle snujące się ulicami odddziały wojsk. Zresztą nic nie dawało powodu do przypuszczeń, że po południu cała Warszawa znajdzie się nagle w stanie gwałtownego wstrząśnienia. Około godziny 4 po południu wojsko zamknęło wszystkie ulice, wstrzymując ruch i komunikacyę w całem mieście. Gęste patrole zaczęły rewizyę uliczną we wszystkich punktach miasta równocześnie. Rewizye te pozostały bez rezultatu prawie, jedynym ich skutkiem było aresztowanie przeszło 1.000 osób, które jednak z powodu braku dowodów winy wypuszczono i tylko kilkudziesięciu ludzi zatrzymano. Efekt jednak był. Przez cztery godziny blisko Warszawa była jakby zamarła, ustał wszelki ruch pieszy i kołowy.

Ilustracya, zamieszczona na tytułowej stronie dzisiejszego numeru, przedstawia scenę z życia dzisiejszej Warszawy. Wystarczy przyjrzeć się jej, a nabierze się pojęcia o przyjemnościach, na jakie narażeni są najspokojniejsi obywatele podczas stanu wojennego.

## Napad na konsula hiszpańskiego.

Ubiegły tydzień zaznaczył się w Warszawie wzmożoną znacznie represyą. Zaczęły się znowu rewizye przechodniów na ulicach, masowe aresztowania, przyczem rozzuchwalenie żołnierzy dochodziło nieraz do zastraszających rozmiarów. W ubiegły piątek zaszedł nawet wypadek brutalności, który wywołał poważne nieporozumienie w drodze dyplomatycznej; nieporozumienie to w ostatnich dniach znacznie się nawet zaostrzyło. Chodziło mianowicie o napad na jeneralnego konsula hiszpańskiego w Warszawie, p. Lewenberga

P. Lewenberg, adwokat przysięgły w Warszawie, którego portret w stroju konsula hiszpańskiego zamieszczamy obok, przechodził zamyślony obok dwóch szeregów żołnierzy na Krakowskiem Przedmieściu, niedaleko Towarzystwa dobroczynności, gdy nagle uczuł uderzenie kolbą, która tylko dzięki instynktowemu uchyleniu się p. Lewenberga, uderzyła go w rękę. Uderzył go szeregowiec przechodzącego właśnie oddziału wawerskiego pułku piechoty.



**Napad na konsula hiszpańskiego:** Konfrontacya żołnierzy, z których jeden znieważył konsula Lewenberga, na dziedzińcu cyrkułu.

P. Lewenberg udał się natychmiast do cyrkułu, gdzie oświadczono mu gotowość natychmiastowego ukarania winnego żołnierza. W tym celu wyprowadzono dla konfrontacyi cały oddział na dziedziniec cyrkułu Chwilę tę przedstawia załączona obok illustracya. P. Lewenberg, zaskoczony jednak całem zajściem niespodzianie, nie mógł wskazać osoby winowajcy.

Wypadek ten, ze względu na stanowisko dyplomatyczne p Lewenberga, wywołał duże wrażenie i interwencyę. Ileż to jednak podobnych wypadków zachodzi codziennie, iluż ludzi powraca z ulicy do domu ze spuchniętemi od uderzeń plecami, rękoma? Wszystko to jednak ginie w niepamięci fali, bo pokrzywdzeni boją się szukać sprawiedliwości, cierpią więc w milczeniu, radzi, że się tylko na bólu kończy, a nie na śmierci.



**Niewinna ofiara ulicy:** Stanisław Morawski, współpracownik znanej firmy Puls w Warszawie, zabity na ul. Świętokrzyskiej salwą karabinową, daną przez żołnierzy patrolujących po zamachu na pułkownika żandarmeryi hr. Essen-Stenbocka.

## Niewinna ofiara ulicy.

Wśród zamętu i powszechnej anarchii w Warszawie nikt nie jest pewny swego życia. Społeczeństwo znajduje się jakby między młotem, a kowadłem. Z jednej strony rozszalały i do niebywałych rozmiarów wyrosły bandytyzm, terror rzezimieszków i mętów społecznych, z drugiej strony stan wojenny i terror okropnych jego skutków. Na ulicach dzień w dzień padają ludzie od kul bandytów, albo od kul żołnierzy, bo salwy na ulicach powtarzają się coraz częściej. Ofiarą tych smutnych stosunków padają najczęściej ludzie niewinni, mnożąc z dniem każdym olbrzymi szereg niewinnych ofiar ulicy.

Jedną z takich ofiar jest śp. Stanisław Morawski, ofiara strzałów w dniu 22 sierpnia. Morawski, przechodząc ulicą Świętokrzyską podczas pościgu żołnierzy za bojowcami, którzy usiłowali uśmiercić pułkownika żandarmeryi hr. Essen-Stenbocka, padł ofiarą strzału, danego przez jednego z żołnierzy patrolujących na chybił trafił do przechodniów. Padł, rażony śmiertelnie i w kilka chwil potem życie zakończył.

Śp. Stanisław Morawski, którego portret zamieszczamy obok, był jednostką, odznaczającą się rzadką prawością charakteru, inteligencyą i zdolnościami. Ukończywszy w roku 1883 gimnazyum kaliskie, wstąpił do ówczesnej wyższej szkoły handlowej Kronenberga, którą ukończył z odznaczeniem. Zawód handlowy rozpoczął w znanej warszawskiej firmie Puls, w której pracował aż do ostatniej chwili. Liczył lat 45, osierocił żonę i 12-letnią córkę.

Wiadomość o śmierci ojca i męża otrzymały biedne kobiety najniespodziewaniej w Krakowie. Około godziny 5 popołudniu 24 sierpnia przyszła

do cukierni Kissa przy ul. Floryańskiej w Krakowie, jakaś pani z młodą dziewczynką i kazała sobie podać lody i „Kuryera warszawskiego“. Zanim jednak chłopak zdążył przynieść zamówione lody, owa pani, czytając „Kuryera“ wydała nagle przejmujący krzyk rozpaczy: „Zabity! Zabity!“ i omdlała zwiesiła głowę na piersi drżącej z przerażenia dziewczynki. Okazało się, że kobietą tą była właśnie żona niewinnie zabitego Morawskiego, chwilowo bawiąca w Krakowie. „Kuryer warszawski“ jaki jej podano, donosił właśnie o zabiciu jej męża i ojca jej córki. Fakt ten poruszył do głębi wszystkich obecnych w cukierni gości.



**Zamordowany przez agitatorów:** Roman Kolitowski, 20-letni praktykant agronomiczny, zamordowany w Wilkowej Woli przez agitatorów, których chciał nakłonić do zaprzestania agitacyi i strejku rolnego. (Do artykułu na str. 20).

## Dramat miłosny w Sokołowie.

Miłość, najszlachetniejsze ze wszystkich uczuć, jakie kryje w sobie dusza człowieka, zdolna jest niekiedy nawet do czynów zbrodniczych, w dyametralnem stojących przeciwieństwie do świętości i wspaniałości tego boskiego zaiste, szlachetnego uczucia. Zakochani niejednokrotnie sami rzucają się w objęcia śmierci, choć przyczyną rozpaczliwego kroku bywa nieraz błahostka, w podnieconej jedynie wyobraźni do kolosalnych wyrastająca rozmiarów.

W Sokołowie, w Królestwie Polskiem, zaszedł wypadek, który wstrząsnął całą okolicą, tragiczny dramat miłosny, osłonięty tajemnicą, którego ofiarą padła młoda, bo zaledwie 20 letnia dziewczyna, piękna i w pełni sił. Rzecz się miała następująco:

Na stacyi w Sokołowie mieszkał felczer kolejowy Gitler. W ostatnich czasach rodzina Gitlera z powodu odnawiania mieszkania zajmowała chwilowo trzy towarowe wagony, stojące na linii obok gmachu stacyjnego. W ubiegły wtorek rano przyjechał z Warszawy syn Gitlerów, Jan, wraz z zamieszkałą w Warszawie Zofią Świerczewską, swą narzeczoną, z którą się miał wkrótce połączyć węzłem małżeńskim. Wieczorem tego dnia narzeczeni przechadzali się przez kilka godzin wzdłuż toru kolejowego, wiodąc ożywioną rozmowę. Nic jednak nie zdradzało mającego się wkrótce rozegrać dramatu.

W nocy młody narzeczony wyjechał do Warszawy, Świerczewska zaś pozostała u swoich przyszłych teściów. Noc minęła zupełnie spokojnie, dopiero nazajutrz rano przebudził wszystkich huk strzału rewolwerowego, jaki się rozległ z wagonu, w którym spała Świerczewska. Zbiegli się wszyscy przerażeni i oczom ich przedstawił się tragiczny swą grozą obraz. Oto Świerczewska, nie wstając z pościeli, wzięła ze stołu przygotowany za wczasu rewolwer, i przyłożywszy lufę do lewego boku, wystrzeliła. Strzał był śmiertelny. Kula przeszyła serce i, wyszedłszy przez plecy, utkwiła w poduszce. Śmierć nastąpiła momentalnie. Na twarzy młodej samobójczyni nie było znać wcale cierpień przedśmiertnych; usta miała lekko uchylone, jakby uśmiechnięte, a otwarte oczy, które nawet nie straciły blasku, miała skierowane w górę. Co było przyczyną tragicznej śmierci — niewiadomo.

Zofia Świerczewska, ofiara miłosnego dramatu, której portret zamieszczamy obok, jest córką byłych właścicieli domu przy ul. Hortensya. Podczas słynnego pochodu październikowego, urządzonego po wydaniu manifestu konstytucyjnego, a zakończonego tak tragicznie, została na ul. Marszałkowskiej raniona szablą w głowę.



Fot. St. Bogacki, Warszawa.

**Dramat miłosny w Sokołowie:** Zofia Świerczewska, 20-letnia Warszawianka, która, przebywając chwilowo u swoich przyszłych teściów, Gitlerów, w Sokołowie, z niewiadomych przyczyn strzałem rewolwerowym w serce odebrała sobie życie.



Fot. specyalnie przez redakcyę „Now. Illustr.“ na zlot wysłany E. Pierzchalski z Krakowa.

**Zlot sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu:** Grupa zbiorowa wszystkich Sokołów polskich, zdążających na zlot sokolstwa ogólno-słowiańskiego do Zagrzebia, zdjęta po połączeniu się wszystkich gniazd polskich w Budapeszcie na wyspie Małgorzaty.

# OFIARY WAMPIRÓW.

**Romans z życia przez Gr-ego.**

Ciąg dalszy.

— Pokaż, pokaż... Ano podobna to jest, ale ja bym jej tak zaraz nie była poznała... Bo widzi pan radca — tu zwróciła się do księcia Czerskiego — jak się kobieta inaczej ubierze, to się zaraz tak odmieni, że przecież czasem rodzona matka na pierwsze spojrzenie poznać nie może...

— A jakże była ubrana ta panienka, gdy ją tu przyprowadzono — spytał nagle Krzesiak.

Dziewczęta, jedna drugą uzupełniając, opowiedziały wszystkie szczegóły ubrania nieznajomej, o ile je zdołały zapamiętać...

Krzesiak szepnął księciu, że w takim stanie właśnie odebrał mu Kosiara Laurę.

Dalej pytane powiedziały, kiedy ową panienkę tam przyprowadzono, co wszystko z tem się zgadzało, iż Kosiara wprost z pod poczty przywiódł wówczas w nocy swą ofiarę do tego domu.

Na zapytania ajenta zdały obie sprawę z całego przebiegu pobytu panienki w ich mieszkaniu.

Ajent nacierał coraz bardziej, że wreszcie nie zataiły i owej wizyty Kosiary pod chwilową nieobecność Pędzikowej, kiedy im ten dał pieniądze za to, żeby ją śledziły i w razie czego dały mu znać do szynku.

— Jak ten człowiek wyglądał, jak się nazywał?

— Kosiński się nazywa...

— Zmienił sobie tu Kosiarę na Kosińskiego — zwrócił się ajent do Czerskiego, poczem dziewczyny im opisały dokładnie wygląd owego obcego, zgodny w zupełności z tem, jak przedstawiał go w policyi książę.

— Bezwarunkowo on — potwierdził jeszcze Czerski, słuchając słów opisu.

— Gospodyni coś naradzała się z tą panienką i kiedyśmy wyszły na ulicę wieczorem, wyniosła się z nią z domu i do tej pory nie powróciła...

— Ona musiała wyjechać gdzieś, bo z tego, jak widzę, co ze sobą zabrała, można być pewnym, że wybierała się w podróż...

— I tę panienkę także przebrała po wierzchu inaczej...

— Tłomoczek też ze sobą zabrała jakiś... pod chustką wyniosła z domu...

— Toś ty ją tylko widziała na ulicy, jak gdzieś obie poszły...

— Któraż z was dała wtedy znać do szynku owemu Kosińskiemu?

— To ona....

— Wiem. I cóż on na to zrobił?

— Parę szóstek wlepił mi w rękę i jak waryat poleciał... Odtąd już go nie widziałam i u nas nie był....

Książę wyszedłszy na ulicę w towarzystwie Krzesiaka i ajenta, odetchnął.

Malarz ze szczerem współczuciem spojrzał na niego i widział, że biedny ojciec jest wielce przygnębiony.

Za chwilę, gdy ajent ich pożegnał, wsiedli do dorożki i odjechali do hotelu.

Przebrawszy się, zeszli do sali restauracyjnej. Wybrali z karty potrawy i jedli w milczeniu.

Książę obtarł usta serwetą i kazał kelnerowi podać wino.

Wśród tego Cypryan sięgnął po świeżą gazetę i obojętnie zaczął przeglądać artykuły.

W końcu uderzyła go notatka pod jakimś sensacyjnym tytułem. Przeczytał początek...

— Jest....

— Co takiego — zerwał się książę z miejsca i nachylił się przez ramię Krzesiaka nad dziennikiem.

Czytali obaj, mieniąc się na twarzach.

— To nikt inny, tylko Kosiara przyłapał je w drodze.... on to z pociągu wyrzucił tę babę...

— Hrabia Rożniewski zaopiekował się nią... młody Rożniewski.... Jeżeli to Laura, w takim razie jestem spokojny o nią, bo hrabia sam mi ją odwiezie do domu....

— Ależ naturalnie, że to nikt inny, tylko panna Laura... Bogu dzięki, chyba, że znajduje się już pod dobrą opieką....

— Nie rozumiem tylko, czy to będzie ten sam młody Rożniewski, którego mam na myśli, bo, on, proszę pana, nie jest jeszcze żonaty....

— Mieczysław Rożniewski i jego młodziutka żona — odczytał Cypryan ponownie.

— Innego młodego Rożniewskiego nie ma, ten zaś właśnie, o którym myślę, jest Mieczysław, ale ten szałaputa jeszcze się nie ożenił.... Chociaż, wie pan co, to jest możliwe, iż jechał on w towarzystwie jakiejś młodej kobiety i albo sam ją przedstawił jako swoją żonę, albo też reporter piszący ową notatkę do dziennika, wziął tę osobę za małżonkę hrabiego....

— Cóż zatem począć należy, zdaniem księcia...

— Co począć.... albo ja wiem.... chyba, że trzeba zaraz tam jechać....

— Byleśmy się tylko nie minęli znowu.... Bo, jak książę powiada, mógłby hrabia Rożniewski sam odwieść pannę Laurę do Warszawy, dowiedziawszy się kto ona.....

— Ale powiedz mi pan, dlaczego w tej notatce dziennikarskiej brak najważniejszego szczegółu.... Przecież to piękne dziewczątko, o którem tu mowa, że je znaleziono w wagonie, według tego, co piszą, zemdlało tylko, a nie jest chore.. Więc jeżeli to Laura, czemuż nie wyznała zaraz potem, jak się nazywa i skąd się w rękach tych jakichś łotrów wzięła.... Czemu tu brak jej imienia, jej nazwiska... To mnie zastanawia... Czyżbyśmy się mylili, czyżby to miała być nie ona....

Książę Czerski, podobnie jak Cypryan Krzesiak nie mylili się. Bohaterką cichą tego dramatu kolejowego była istotnie Laura.

Ale młody malarz miał słuszność, obawiając się, że gotowi minąć się z księżniczką w pościgu na oślep.

Istotnie już jej nie tylko tam nie zastali przyjechawszy natychmiast, ale, co gorsza, nie, mieli pojęcia, dokąd hrabia Mieczysław Rożniewski wraz ze swą towarzyszką wywieźli teraz Laurę.

Fotografia księżniczki, przez jej ojca pokazana różnym osobom na miejscu, upewniła Czerskiego, że to ona właśnie odjechała przed kilku godzinami z hotelu z Rożniewskim. Ktokolwiek bowiem spojrzał na fotografię, wołał:

— Ależ ta sama!

Tylko nikt nie umiał objaśnić jej ojca, dokąd wyjechali po jednym noclegu kilkugodzinnym.

Pojechał tedy Czerski zaraz do Warszawy w tem przypuszczeniu, iż albo Laurę zastanie już w domu, albo lada chwila przyprowadzi ją do pałacu w alejach Ujazdowskich chwilowy jej opiekun przypadkowy — Mieczysław Rożniewski.

Jednocześnie Cypryan Krzesiak sam powrócił do Krakowa, ponieważ mógł zajść wypadek, iż Rożniewski z Laurą szukali księcia Czerskiego w Krakowie. Księżniczka bowiem, wiedząc o tem, że Krzesiak telegraficznie wezwał jej ojca i dał mu swój adres jako bezpieczne już schronienie Laury, po wyrwaniu jej z mocy Kosiary, mogła była prosić Rożniewskiego, by zamiast do Warszawy. zawiózł ją do Krakowa, gdzie poszukuje jej napróżno zrozpaczony ojciec.

Ułożyli się Czerski z Krzesiakiem zanim się rozjechali, że telegraficznie będą sobie dawali znać o tem — co zajdzie.

Tymczasem treść depesz, jakie ze sobą zamieniali w ciągu pierwszych dni między Krakowem, a Warszawą, była prawie jednobrzmiąca,

— Ani śladu!

Czerski w swoim pałacu, a Cypryan w swej pracowni, czekali daremnie na zjawienie się hrabiego Rożniewskiego z Laurą. Tymczasem nie nadchodziła nawet wiadomość telegraficzna o jej dalszych losach.

Wreszcie książę przyjechał sam do Krakawa na naradę z Cypryanem, jak mają nadal postępować, by wpaść na ślad bądź Kosiary, bądź Rożniewskiego.

O tego ostatniego dowiadywał się kilkakrotnie w Warszawie i w Łodzi, ale nic mógł się dowiedzieć nic nad to, że wyjechał za granicę.

Wreszcie zasięgnął informacyi co do tego, kto mógł być jego towarzyszką. Zapewniono go, że to nikt inny, jak tylko była aktorka Tola Orliczówna, przyjaciółka młodego hrabiego.

Czerski szukał starszego Rożniewskiego, licząc na to, że od niego przecież dowiedziałby się czegoś pewnego, dokąd wyjechał pan Mieczysław. Ale Rożniewskiego ojca nie było również w Warszawie.

Zaledwie jednak książę przybył do Krakowa, dano mu znać, że hrabia ojciec jest już w Warszawie z powrotem. Zadepeszował do niego Czerski i odebrał telegram z wiadomością, że syn w podróży poślubnej znajduje się już zapewne w drodze do Ameryki, przysłał bowiem świeżo pozdrowienie dla ojca z Hamburga.

Z taką nowiną zjawił się książę Czerski w mieszkaniu Cypryana Krzesiaka.

Artysta musiał spodziewać się lada dzień księcia i był przygotowany na jego nawet niespodziewane wejście do pracowni, świadczyło bowiem o tem przedewszystkiem usunięcie ze ztalug owego fantastycznego obrazu, o którym Cypryanowi powiedział kolega Szeleski, że już poznał go przypadkiem Czerski, oczekując na któregoś z nich obu w ich mieszkaniu.

Teraz znajdował się ten obraz w kącie pod ścianą, zastawiony jeszcze kilku innemi płótnami ledwie podmalowanemi.

Na stalugach widniał natomiast mały obrazek pastelowy, koło którego zastał książę właśnie pracującego Cypryana. Artysta, jakgdyby dla odpoczynku, malował wiązankę kwiatów, której oryginał świeży i wonny stał w jakimś staroświeckim pucharze obok na stoliczku.

Na powitanie Czerskiego zerwał się malarz z taboreciku, odłożył przyrządy, obtarł śpiesznie palce i wyciągnął ręce ku niemu z niemym znakiem pytania w twarzy. Zauważył to książę, iż Cypryan spodziewa się z ust jego jakiejś pocieszającej wiadomości.

— I znowu nic pewnego — odezwał się — znowu nie wiemy o wiele więcej aniżeliśmy dotąd wiedzieli....

Poczem podzielił się z Krzesiakiem wiadomościami, jakie udało mu się zdobyć od starszego Rożniewskiego.

Zaczęli na ten temat rozprawiać i jeden jak drugi nie taili, że właśnie teraz będzie najtrudniejsze poszukiwanie i może się ciągnąć najdłużej.

— Ależ nie sposób pomyśleć, żeby hrabia Rożniewski miał ze sobą zabierać pannę Laurę aż do Ameryki.... Trudno sobie wytłomaczyć, dlaczego nie miałby od niej dowiedzieć się, kto ona, więc czemuż nie odwiózł jej do Warszawy.... Nie, nie, to niemożliwe, panna Laura została w Europie.....

— W takim razie pan przypuszczasz najgorsze... pan sądzisz, że Lorcia popadła znowu w piekielną moc tego zbója Kosiary... A przecież ten łotr chyba już nie żyje... Chociaż... pan możesz mieć racyą... jego tam po owym wypadku kolejowym nie odnaleziono nigdzie...

Wyraz serdecznego cierpienia wystąpił na twarz Cypryana, który nic nie odpowiedział na słowa księcia.

I Czerski umilkł. Tylko oka nie spuszczał ze smętnego oblicza młodziana. Obserwował go długo.

Wreszcie wstał z krzesła, przeszedł się kilka razy szerokimi kroki po obszernej pracowni, przyczem wzrokiem czegoś szukał widocznie.

Nagle zatrzymał się w jednym kącie, zręcznie odsunął kilka płócien, naciągniętych na blajtramy i z pod samej ściany wyciągnął obraz największy.

— Złam ten groźny miecz, panie Cypryanie — rzekł tonem łagodnym i przyjaznym, z pewnem wzruszeniem w głosie, przynosząc malarzowi obraz z ukrycia — jeżeli i ta Ewa wyobraża sobie raj w pożyciu z takim Adamem, podobnie jak to się jemu marzy, w takim razie...

— W takim razie — krzyknął Cypryan zdumiony, chwytając obraz z rąk księcia.

— Groźny archanioł złamał miecz swój okrutny — odparł Czerski z uśmiechem, wyciągając ramiona ku Cypryanowi.

— Panie — krzyknął młodzieniec — czy dobrze słyszałem — i głowa jego spoczęła na piersiach Czerskiego, który ze wzruszeniem przycisnął go do serca, a łzy zakręciły mu się w oczach.

— A teraz, mój zięciu, jedźmy w świat szukać twojej narzeczonej...

## Zakończenie.

Co najbardziej dziwiło Czerskiego i Krzesiaka, dlaczego młody hrabia Rożniewski nie dał znać ni do Warszawy, ni do Krakowa o miejscu pobytu Laury, albo dlaczego nie odwiózł jej do ojca — da się wytłómaczyć łatwo.

Ani bowiem hrabia Mieczysław, ani jego piękna towarzyszka, nie wiedzieli, kim się zaopiekowali w swojej podróży.

Domyślali się tylko jakiejś cichej tragedyi tajemniczej, poznawszy bliżej to delikatne dziewczątko, które udało im się ocalić po fatalnym wypadku kolejowym.

Czytelnicy nasi wiedzą już, że to Pędzikowa, która w sekrecie, dla zdobycia wysokiej nagrody, wiozła księżniczkę Laurę do jej ojca, wyrzucił z pociągu Kosiara, a kiedy zauważył, że miał przypadkowego świadka swej zbrodni w osobie młodego Rożniewskiego, zamierzał z balkonu wozu kolejowego w pędzie pociągu strącić na tor również hrabiego. Szpicrózga w ręku Halki Modrzewskiej ocaliła życie jej narzeczonemu, który w obronie własnego życia szamocąc się z łotrem, wytrącił go mimowoli z platformy, że Kosiara runął na plant.

Co się z nim stało, nie było wiadomem nikomu

po znalezieniu jedynie trupa Pędzikowej na torze, a raczej szczątków ofiary.

Panienka, którą wieźli z sobą ci podejrzani władzom ludzie, znaleziona w stanie nieprzytomnym w wagonie trzeciej klasy, nie mogła dać żadnych wyjaśnień nawet wtedy, gdy ją ocucono.

Policya nie miała nic przeciwko temu, że hrabia Rożniewski, na prośbę swej towarzyszki, postanowił zaopiekować się dziewczęciem, które — jak sobie wszyscy mogli wyobrażać — owa nieżyjąca już w tej chwili kobieta wraz z owym zbójem, uwozili kędyś w celach nieuczciwych.

Tymczasem Laura popadła w stan chorobliwy na tle nerwowem.

Nawet gdy przyszła do siebie po pierwszem wstrząsającem wrażeniu, na wszelkie pytania odpowiadała milczeniem i smętnem spojrzeniem. Cichy stan melancholii mało co zmieniał się w następnych godzinach, kiedy już przestała trwożyć się, jak z początku, każdym najlżejszym szmerem.

Wreszcie prawie uspokoiła się i wtedy zaczęła już rozmawiać trochę z Halką Modrzewską, do której zwracała się z tak bezgranicznem zaufaniem, jak gdyby do dawnej, wypróbowanej przyjaciółki.

Ale ile razy ta starała się dowiedzieć od niej, jak jej na imię, jak się nazywa, gdzie stale mieszka, skąd ją porwali ci źli ludzie i co oni byli za jedni — tyle razy Laura milkła i posępniała.

Czasem tylko odpowiadała:

— Nic sobie nie przypominam.

Istne przerażenie ogarniało ją za każdym razem, gdy była mowa o Kosiarze. Jego nazwiska także podać nie mogła; nie pamiętała. Ale wystarczało zacząć mówić o tym zbóju cokolwiek, a już wpadała Laura w lęk nieopisany.

Radzono się lekarza. Ten uspokoił Mieczysława i Halkę, że stan biednej panienki nie jest niebezpieczny i zatrważający, a przypadłości nerwowe są jedynie następstwem ciężkich przejść. Doktor oświadczył, że medycyna zna takie przypadki niedomagania pamięciowego, które rychło ustąpi.

Zalecił wielki spokój i radził o ile możności, zupełną zmianę trybu życia.

Kiedy Halka powiedziała, że właśnie odbędą dłuższą podróż morską, w. którą chętnie gotowi wziąć swą nową pupilkę, doktor ucieszył się tem bardzo, zapewniając, że toby miało wpływ najlepszy na chorą.

Zanim opuszczono ląd stały, uczestniczyła Laura Czerska w cichym ślubie Mieczysława hrabiego Rożniewskiego z Halką Modrzewską, która odtąd przestała być na zawsze Tolą Orliczówną ze świata zakulisowego.

Wreszcie stanęli w Hamburgu. Tu Laurę ogarnął jakiś niepokój. Młoda hrabina zaczęła tedy zasypywać ją pytaniami, żeby się upewnić, czy może pan na Wanda, jak Laurę nazwano, gdy chora w żaden sposób sama nie mogła sobie przypomnieć swego imienia — niema ochoty płynąć z nimi przez ocean na drugą półkulę.

Ale biedne dziewczę nie protestowało, chociaż jakiś lęk niewytłómaczony imał się jej ciągle na widok morza.

W porcie przypadkiem natknął się hrabia Rożniewski na dawnego znajomego. Był nim wnuk polskiego emigranta z Paryża, przez pół Polak, przez pół Francuz, nazwiskiem Kazimierz d'Hauterive, obecnie kapitan marynarki.

Hrabia zapoznał go z paniami i spędzono wspólnie nader przyjemny wieczór na rozmowie przy kolacyi.

Kapitan miał nazajutrz wyruszyć ze swym statkiem do Transwaalu.

A były to czasy wojny Anglików z Boerami. Dla tych ostatnich wiózł właśnie d'Hauterive amunicyę na swoim okręcie.

Przez cały wieczór w sposób nader zajmujący opowiadał kapitan towarzystwu swoje przygody z najrozmaitszych podróży. Słuchano go z natężeniem, a zwłaszcza młoda hrabina tak się zainteresowała nowem dla niej życiem na morzu, że nie taiła, iż z rozkoszą przebyłaby sama niejedną z tak ich przygód, o jakich słyszy z ust marynarzy.

— Więc jedźcież państwo z nami do Transwaalu, zamiast do Ameryki — zaśmiał się kapitan.

— Słuchaj Mieć — zawołała na to hrabina Halka — co nam po Ameryce, czy nie będzie oryginalniejszą podróż poślubna do Transwaalu w czasie wojny...

Wkrótce żarty zamieniły się w plany budowane na seryo i niemal stanęło na tem, że kapitan d'Hauterive gotów jest zabrać na swój statek całe towarzystwo.

Ale Halka jeszcze zawahała się w ostatniej chwili ze względu na pannę Wandę.

— A nie obawia się pani?

Panienka uśmiechnęła się.

— Dokąd państwo tylko zechcecie, pojadę z wami...

Wobec tego ułożono się jedynie o godzinę wyjazdu.

Nazajutrz całe towarzystwo, złożone z hrabiego Mieczysława, hrabiny Halki i panny Wandy, o której do tej chwili nikt jeszcze nie wiedział, iż jest księżniczką Czerską, znalazło się na pokładzie statku „Espero“.

Niepokój, który w przystani prześladował Laurę, pierzchnął naraz, gdy statek ruszył z portu.

Hrabina Halka, nieprzywykła do morskiej podróży, odczuła jej skutki od pierwszej chwili, gdy przeciwnie Laura nie doznawała wcale wrażeń nadzwyczajnych, spoglądając spokojnie na znikający w dali za tonią morską ląd stały. Czuła się jak najlepiej i stała się nawet znacznie rozmowniejszą, aniżeli dni poprzednich.



— Jezus Marya! To on... Kosiara.... Kosiara!
I twarz ukryła na piersi hrabiny Halki, chroniąc się przed widokiem upiora, który stanął niespodziewanie oko w oko przed Laurą na pokładzie statku, gdzie czuła się tak od niego daleką i bezpieczną.

Mieczysław dopytywał się, czy kiedy odbywała już większe podróże na okręcie. Panna Wanda oświadczyła mu, że już nieraz przepływała morze, ale siliła się daremnie, by sobie przypomnieć, w jakich to było okolicznościach, kiedy, skąd i dokąd. Pamięć zawodziła ją jeszcze.

Ale życie okrętowe nie wydawało się jej nowością. Znała je bezwarunkowo.

Z początku podróży mieli na morzu pogodę. Zatrzymali się już parę razy w różnych portach na krótko i płynęli dalej całą siłą pary, gdy naraz pojawiły się pierwsze objawy burzy morskiej.

Kapitan d'Hauterive przybiegł zaraz do hrabiego Rożniewskiego i uspokoił jego panie zapewnieniem, że niema żadnego niebezpieczeństwa, jakkolwiek zbliża się silna burza, poczem powrócił na swoje stanowisko, żeby w dalszym ciągu wydawać odpowiednie polecenia swoim podwładnym.

Hrabia widząc, że burza nie przeraziła ani jego żony ani panny Wandy, udał się na chwilę do kapitana, zostawiwszy obie panie na pokładzie.

Tu nastała właśnie chwila ogólnego zamieszania, wzburzone fale bowiem zaczęły gwałtownie miotać statkiem, gdy wtem księżniczka Laura krzyknęła:

— Jezus Marya! to on... Kosiara... Kosiara!

I twarz ukryła na piersi hrabiny Halki, chroniąc się przed widokiem upiora, który stanął niespodziewanie oko w oko przed Laurą na pokładzie statku, gdzie czuła się tak od niego daleką i bezpieczną.

Skąd ten łotr wziął się na okręcie?

Kosiara potłukł się tylko trochę podówczas, wypadłszy z pociągu, chociaż równie łatwo mógł był tam zginąć na miejscu, a conajmniej stać się kaleką na całe życie.

Na pozór wydawało się to niemal nieprawdopodobne, by z takiego wypadku mógł człowiek wyjść cało.

A jednak Kosiara zawdzięczał swe życie tylko szczęśliwemu trafowi.

Kiedy szamocąc się z hrabią Rożniewskim na balkonie wagonu kolejowego, stracił naraz równowagę i spadł ze stopni, runął w przepaść...

Mimo tak silnego prądu powietrza, jaki wywołuje bieg pociągu pędzącego całą siłą pary, Kosiara zsunął się tylko z dość wysokiego nasypu stromego, po którym w tem miejscu biegły tory, od razu na miękkie trzęsawisko.

Z okien wagonu widać tam tylko łąkę zieloną, upstrzoną gęsto barwnem kwieciem.

Ktoby jednak chciał zbadać bliżej ten grunt kwiecisty, cofałby się stamtąd z przerażeniem, spostrzegłszy, iż za każdym dalszym krokiem grzęźnie.

Z pod warstwy bujnej trawy występuje pod stopą nieuważnego podróżnego błyszcząca woda.

To bagnisko niebezpieczne, wieczorami znaczone smugą sinych oparów, a niekiedy nocą błędnemi ogniki..

Na taką to miękką łąkę stoczył się z plantu kolejowego Kosiara i legł tam, zarywszy ciałem głęboko w błocie.

Rychło oprzytomniał.

Trudno mu było wstać, bo zapadał się w bagno, chcąc się dźwignąć, ale strach nakazywał mu pośpiech.

Wiedział, że lada chwila pociąg zostanie wstrzymany w drodze sygnałem alarmowym, a wówczas służba pociągowa rozpocznie poszukiwania na plancie kolejowym i oprócz Pędzikowej, która musiała niechybnie zginąć, znajdzie także i Kosiarę.

No, wystarczyłoby dostać go w ręce!

Wszak wyrzucenie Pędzikowej z pociągu okazałoby się tylko bagatelką wobec tego wszystkiego, co łotr ten miał na sumieniu w swojem życiu.

A zbrodnie jego wszystkie wyszłyby na jaw dopiero teraz. Policzonoby się z nim za wszystkie czasy.

Więc nie dziw, że chociaż Kosiara czuł się jak gdyby połamany, użył całego zasobu energii, byle zerwać się corędzej z miejsca i uciekać przed pościgiem.

Kiedy tylko zauważył, że cały błotem umazany, wydałby się podejrzanym, pierwszą jego myślą było, upewnić się, żali w tym skoku śmiertelnym z pociągu nie uronił pieniędzy.

Więc ręką sięgnął w miejsce, gdzie ukrywał węzełek z swem bogactwem. Uśmiech tryumfu wykrzywił straszną twarz zbója, gdy namacał swój skarb.

Rozejrzał się po okolicy i wygramoliwszy się z trzęsawiska, pobiegł żywo do najbliższej chaty, jaką dostrzegł.

Tam zapłaciwszy z góry sowicie, obmył się i przebrał w co się dało, a ze swych rzeczy zabłoconych zrobił węzełek, który zabrał z sobą i wkrótce po wyjściu z chaty zakopał pod lasem w kupie gliny.

Następnie pobiegł na stacyę najbliższą, gdzie pociąg przystanął na dłużej dla załatwienia formalności i spisania protokołu z wypadku w drodze.

Na tej to stacyi wysiadł właśnie hrabia Rożniewski z Halką Modrzewską i tu wyniesiono z wagonu nieprzytomną Laurę.

(Dokończenie nastąpi).

# Rajska dolina.

W poprzednim numerze zamieściliśmy kilka illustracyj wraz z obszernym artykułem o trzęsieniu ziemi, jakie niedawno nawiedziło rzeczpospolitą Chile w Ameryce południowej. Chile jest to państewko na południowo zachodnim wybrzeżu



**Rajska dolina:** Valparaiso, widownia trzęsienia ziemi: typ piękności chilijskiej.

Ameryki południowej. Jest krajem górzystym, otoczonym z jednej strony Andami, z drugiej Kordylierami. Główny łańcuch Andów jest natury wysoce wulkanicznej, trzęsienia ziemi zdarzają się tam więc bardzo często i przybierają olbrzymie rozmiary, sprowadzając niejednokrotnie straszliwe katastrofy. W ubiegłych dwóch tygodniach trzęsienia ziemi powtarzały się w Chile codzień prawie, a ofiarą ich padło kilkanaście kwitnących miast, między innemi Valparaiso, główne miasto portowe Ameryki południowej, mieszczące w swojej zatoce wszystkie trakty handlowe morskiej żeglugi. Miasto to nawiedzane bywa trzęsieniem ziemi bardzo często, to też na urągowisko prawie wygląda szumna nazwa, jaką mu nadano, Valparaiso znaczy bowiem dosłownie „rajska dolina“. Nazwę tę usprawiedliwia jedynie fakt, że Valparaiso położone jest iście w rajskiej dolinie, pełnej egzotycznych kwiatów i roślinności; z jednej strony opiera się o wiecznie burzliwy i wiecznie kłam zadający swej nazwie Ocean Spokojny, z drugiej zaś sięga podnóży niebosiężnych Andów, które skalistą koronką ozdobiły brzeg Oceanu. Niema miasta na świecie, któreby pod względem położenia było tak piękne, jak Valparaiso. Da się ono jedynie porównać z Neapolem. Ale nad pięknemi miastami zawisła zdaje się klątwa przeznaczenia. Neapol pozostaje w ciągłym strachu z powodu blizkości niespokojnego Wezuwiusza, Valparaiso narażone jest zawsze na najstraszniejszą z żywiołowych katastrof, na trzęsienie ziemi. I teraz znowu, przed dwoma tygodniami, rajska ta dolina zamieniła się w przeciągu kilku godzin w kupę gruzów. Czego nie dokonało straszne trzęsienie ziemi, to dokończył ogień, nieodłączny towarzysz katastrof żywiołowych. I oto dzisiaj w miejscu, gdzie do niedawna wrzało gorączkowe życie, gdzie dumne gmachy i pałace wielkich przemysłowców i finansistów jak orły śmiało pruć się zdały błękity, widać jeno perzynę i dymiące zgliszcza. Gdzie dwa tygodnie temu rozbrzmiewały śmiechy i wesele, dzisiaj nędza wyciąga ramiona, a skargi i jęki przeszywają czyste, wonią egzotycznego kwiecia przepojone powietrze.

Co do szczegółów katastrofy w Valparaiso, to zauważyć musimy, że wiadomości prywatne nadają jej o wiele większe rozmiary i zgubniejsze w skutki, niż urzędowe doniesienia republiki Chile. Faktem jest jednak, że Valparaiso legło w gruzach, grzebiąc pod ruinami zawalonych domów kilka tysięcy ludzi. Mniejsze rozmiary miała katastrofa w Santiago, głównem po Valparaiso mieście chilijskiem. Ogromna natomiast katastrofa dotknęła miasto Quilotę, leżące w głębi lądu nad ujściem rzeki Akonkagua, odległe od Valparaiso o 21 kilometrów w linii powietrznej, a 58 kilometrów linią kolejową. Quilota liczyła 12 tysięcy mieszkańców i już w 16 wieku była ważnym posterunkiem w pochodzie Hiszpanów ku zachodowi. W ubiegłym wieku



**Rajska dolina:** Valparaiso, widownia trzęsienia ziemi: typ starca chilijskiego.

miasteczko to podniosło się dosyć szybko i doszło do wielkiej zamożności. Łagodny i zdrowy klimat, żyzna okolica i piękne położenie zapewniły miastu dalszy wzrost. Ale temu wszystkiemu położyło nagle kres trzęsienie ziemi, skutkiem którego całe prawie miasto zapadło się w otchłań i zniknęło z powierzchni ziemskiego globu.

Jak wspomnieliśmy wyżej, w Valparaiso trzęsienie ziemi dało się w ciągu ostatnich dwóch tygodni kilkakrotnie odczuwać. W ubiegły czwartek po wstrząśnieniach podczas dnia nastąpiły dalsze trzęsienia ziemi w nocy, a równocześnie padał ulewny deszcz, połączony z gwałtowną burzą. Ci, którzy opuścili we dnie zburzone domy i obozowali bądź pod gołem niebem, bądź pod namiotami, dostarczonymi przez władze państwowe, wracali na noc skutkiem deszczu do ruin i tam nocowali.

Władza miejska w Valparaiso nie opuściła jednak bezczynnie rąk wobec groźnego nieprzyjaciela. W miejscach, gdzie rozbito namioty, zaprowadzono prowizoryczną kanalizacyę, a nad wszystkiemi środkami żywności roztoczono ścisły nadzór. W samem mieście krząta się energicznie magistrat. Nad usuwaniem gruzów pracuje 10 000 robotników, a komitet inżynierów oznacza budynki, które mają być zniesione. Ministerstwo spraw wewnętrznych ma zamiar wywłaszczyć całą dzielnicę Almendral, ażeby ją odbudować według najnowszych wymagań. Energiczne wystąpienie władz wobec indywiduów plądrujących, które natychmiast rozstrzelano, położyło kres rabunkom.

Gdyby podobna katastrofa nawiedziła jakie-



**Rajska dolina:** Valparaiso, widownia ostatniego wielkiego trzęsienia ziemi: z życia i obyczajów ludu chilijskiego; wnętrze domu.

kolwiek inne miasto nie amerykańskie, słyszelibyśmy już byli o odwołaniu się ofiar katastrofy do litości i miłosierdzia ogólno-ludzkiego, prośby o wsparcia i t. d. Inaczej jednak w Ameryce. Rząd chilijski odesłał wszystkie składki, które Chilij-



**Rajska dolna:** Valparaiso, widownia trzęsienia ziemi; wędrowny przekupień chilijski, wożący przez cały rok swój stragan na koniu.

czycy, żyjący za granicą, przysłali do Valparaiso na rzecz dotkniętych katastrofą, motywując to tem, że państwo, gminy i ludność w Chile rozporządzają dostatecznymi środkami i nie potrzebują oglądać się na miłosierdzie bliźnich I jesteśmy przekonani, że za dwa, trzy lata, na gruzach Valparaiso wzniesie się nowe miasto, które pod względem świetności przewyższy może wszystkie miasta w Europie. Amerykanie mają pieniądze i energię, która im nie pozwala zakładać bezczynnie rąk w chwili niebezpieczeństwa, jakby to było naprzykład u nas. Wystarczy spojrzeć na załączoną obok illustracyę starego Chilijczyka. Jaka z niej bije siła, energia i niezłomność woli! Widać z jego oczu, promieniących siłą, że człowiek ten gotów wystąpić do walki z całą przyrodą nawet, że pójdzie nawet na śmierć, a nie cofnie się przed niczem. Inny wyraz ma twarz zamieszczonej również obok piękności chilijskiej. Piękność to w całem tego słowa znaczeniu, zdobna we wszystkie wdzięki i czary niewieście, które ujarzmić mogą serce każdego Europejczyka. Znać na niej pochodzenie hiszpańskie, ale bo też ludność chilijska, to głównie Hiszpanie, metysowie, nie wiele się od białych różniący.

Na jednej z illustracyi, zamieszczonych w uzupełnieniu niniejszego artykułu, widzimy wnętrze domu w Chile. Nie imponuje nam w nim dobrobyt, szczęście, ale biedy też tam nie znać. Cztery inne illustracye przedstawiają charakterystyczne obrazy z życia Chilijczyków. Na jednym widać taniec narodowy chilijski, zwany „cueca“, na drugiej sprzedaż ulubionej chilijskiej potrawy, przyrządzonej ze zgotowanego zboża, zwanej „mote“, na trzeciej znowu charakterystycznego chilijskiego kupca, który przez całe życie nie zsiada prawie z konia, a na którego grzbiecie mieści się cały jego sklep. Czwarta wreszcie illustracya przestawia starego Chilijczyka, jadącego na mule, obraz, bardzo często spotykany nawet na europejskich ulicach Valparaiso.



**Rajska dolina:** Valparaiso, widownia trzęsienia ziemi; z życia i obyczajów ludu chilijskiego: taniec narodowy „cueca“.

## Egzotyczny poeta.

Dusza szczerze artystyczna, przesiąknięta poezyą, kryje się nietylko w ludziach, noszących długie włosy i fantastyczne krawaty, do czegośmy się w Krakowie przyzwyczaili, tętni ona i drga tak pod sukmaną wieśniaczą, jak pod uniformem sztywnego dyplomaty. Na załączonej obok rycinie widzimy właśnie człowieka, opasanego wstęgą, ozdobionego orderami, opiętego w mundur dyplomaty, a przecie ten człowiek, to jeden z najdzielniejszych poetów współczesnych w Persyi. Dyplomacya nie zdołała zabić w nim poety, bo poezya szczera musi, jak oliwa, wyjść na wierzch, dusza poetyczna musi się przejawić na zewnątrz. Ten artysta w mundurze posła perskiego, to książę Mirza Riza Khan Danisch.

O umysłowem życiu Persyi skąpe się tylko do nas przedostają wiadomości. Z bogatej literatury perskiej znamy jedynie genialnego epika Firdusiego i rozkosznego piewcę miłości i wina Hafisa. Współczesna natomiast literatura perska, mogąca się niejednym poszczycić klejnotem, jest dla nas zupełnie obca. Przypisać to należy temu, że u nas nie ma ludzi, znających język perski, niema zdolnych, a zapałem dla sztuki ożywionych tłómaczów. Książę Mirza Riza Khan Danisch, chcąc całemu światu uprzystępnić znajomość współczesnego piśmiennictwa perskiego, chwycił się skutecznego środka. Sam będąc jednym z najzdolniejszych pisarzy perskich, zaczął w dziełach swych posługiwać się językiem francuskim. Ale język to tylko szata zewnętrzna. Sposób myślenia, uczucia, poglądy na życie, jakie przebijają z wierszy, nowel i bajek księcia Khana, tchną duchem krainy złotego lwa, ojczyzny Firdusiego i Hafisa.

Niedawno pojawiła się w handlu księgarskim zbytkownie wydana książka, nosząca tytuł „Perles d'Orient“, (Perły Wschodu“), której autorem jest książę Mirza Riza Khan.

Treść książki przedstawia się trochę jaskrawo.



**Rajska dolina:** Valparaiso, widownia trzęsienia ziemi: Chilijczyk na koniu.

Materyał jest nieuporządkowany, a brak spisu rzeczy utrudnia oryentowanie się. Zapomina się jednak o tem, gdy się wejrzy w głąb zamieszczonych tam poezyi, nowelek i wspomnień. Zdradzają



**Rajska dolina:** Valparaiso, widownia trzęsienia ziemi; z życia i obyczajów ludu chilijskiego; sprzedaż uliczna potrawy „moté“ z gotowego zboża.

one wysoką kulturę autora, zdradzają duszę czułą i wrażliwą, przesiąkniętą na wskroś liryzmem. Niektóre wiersze to istne perełki liryki współczesnej.

W „Wspomnieniach“, zamieszczonych wśród nowel i poezyj, dowiadujemy się, że poeta urodził się w romantycznie położonej stolicy prowincyi Aserbeidżan, w Tabris. Ojciec poety, człowiek ogromnie religijny, pragnął syna poświęcić stanowi duchownemu, jednak Mirza Khan Danisch nie miał do tego ochoty. Studyował prawo i wszedł na drogę dyplomatyczną, na której wznosił się coraz wyżej. Został wkrótce posłem perskim w Petersburgu, jako delegat szacha brał udział w pierwszej konferencyi pokojowej w Hadze, poczem otrzymał ważne stanowisko posła perskiego w Konstantynopolu. Tam wkrótce zdołał się odznaczyć. Kiedy bowiem niedawno Turcya z powodu terytoryów spornych popadła w konflikt z Persyą i zgromadziła już na granicy perskiej znaczne siły wojskowe dla obrony swych domniemanych praw, energicznej i pewnej taktu działalności księcia Riza Khan, udało się doprowadzić do porozumienia i zażegnać burzę, zbierającą się nad obydwoma państwami. Poeta okazał się więc i wybitnym dyplomatą, który prawdopodobnie pójdzie dalej wysoko.



Fot. dla „Now. Illustr.“ O. Drankow w Petersburgu.
**Echa z Finlandyi:** Po stłumieniu buntu wojskowego w Sweaborgu wojsko wierne przysiędze biwakuje na ulicach.



**Egzotyczny poeta:** Książę Mirza Riza Khan Danisch, wybitny dyplomata i poeta perski.

## Echa z Finlandyi.

Przed kilkunastu dniami zatwierdził cesarz Mikołaj II nowe prawo o wolności słowa i związków w granicach wielkiego księstwa finlandzkiego.

Prawo to zawotowane zostało przez finlandzkie „Stany“, w celu rozwoju i ustalenia obywatelskich swobód w kraju.

Wobec nowego prawa, Finlandczycy mają możność korzystania z wolności przemówień i druku bez żadnego obowiązku uprzedniego powiadamiania o tem kogokolwiek. Nikomu też nie wolno z tego powodu stawiać żadnych przeszkód. Również bez żadnych pozwoleń lub powiadomień, mają prawo obecnie obywatele finlandzcy zbierać się i tworzyć stałe stowarzyszenia, mające na celu działalność, nieprzewidzianą przez ogólne prawo jako występną.

Tym sposobem wielkie księstwo Finlandzkie pozyskało jedną z najważniejszych przyrodzonych prerogatyw każdego wolnego państwa: oto obywatele mogą porozumiewać się i łączyć tylko z uwzględnieniem istniejących praw zasadniczych, ogólnych. Wszelkie więc przepisy wyjątkowe, czasowe itp. są już zasadniczo wykluczone.

Pozyskało również zatwierdzenie cesarskie prawo o przywróceniu na posady wszystkich urzędników, wydalonych z Finlandyi w czasie tak zwanej „Bobrikowskiej kanikuły“.

W szeregu różnych spraw bieżących zatwierdzonem zostało wyznaczenie terminu wyborów na sejm roku 1907 i określenie prac przygotowawczych; dalej zatwierdzoną została redukcya godzin wykładu języka rosyjskiego w gimnazyach finlandzkich z 30 na 20 tygodniowo, co stanowiło jednę z resztek systemu rusyfikacyjnego w Wielkiem Księstwie. Normę poprzednią, to jest godzin 30, utrzymano nadal jedynie w realnej szkole w Wyborgu.



**Echa z Finlandyi:** Po uśmierzeniu krwawego buntu wojskowego w Sweaborgu; oddział wojsk wiernych przysiędze, pilnuje mostu, wiodącego do Skatuden. Fot. O. Drankow w Petersburgu.

* * *

Dziś radykalne organa prasy rosyjskiej zarzucają mieszczańskiej Finlandyi, że zadowoliła się „misą soczewicy“ i nie umie wznieść się na wyżyny rosyjskiego ruchu rewolucyjnego. W Finlandyi rewolucya była tylko narodową a nie klasową i dlatego po osiągnięciu celu — jak piszą radykaliści — dawna opozycyjna uboższa i średnia burżuazya przeobraziła się w żywioł najbardziej lojalny, gotowy chwycić się najpospolitszych środków, byle tylko zachować nietykalność konstytucyi finlandzkiej. Właśnie ta burżuazya, utworzywszy „białą gwardyę“ walczyła przeciwko „gwardyi czerwonej“. A nadto senat finlandzki, stojący na straży praw, swobód i interesów kraju, zastosował do Finlandyi ogólno-rosyjski czasowy środek odnośnie do przywozu i sprzedaży broni w granicach państwa.

Wiadomo, że czerwona gwardya socyalistyczna została rozwiązaną. Ale zwolennicy jej nie cichną i nie zaprzestają swej działalności w kraju, w przeciwieństwie do stronnictwa białej gwardyi, która dąży do uspokojenia wewnętrznego wrzenia w obrębie Finlandyi.

Niema tedy pewności, czy obecny względny spokój, jaki panuje w Wielkiem Księstwie od cza-



**Echa z Finlandyi:** Z krwawych dni buntu wojskowego w Sweaborgu; pogrzeby ofiar; duchowny prawosławny odprawia egzekwie w przystani. Fot O. Drankow w Petersburgu.

su stłumienia buntu wojskowego w Sweaborgu, okaże się trwałym i pewnym.

* * *

Po dziś dzień tułają się jeszcze w prasie echa pamiętnych dni Sweaborga, które ilustrowaliśmy już parokrotnie w naszem piśmie.

Niedawno przysłał nam nasz korespondent petersburski jeszcze jedną seryę fotografii ze Sweaborga, których nie mogliśmy pomieścić w poprzednim numerze z powodu nawału innego materyału aktualnego. Ponieważ nie straciły one jeszcze swej wartości, póki wypadkami w Finlandyi zajmuje się w dalszym ciągu ogół polski, zamieszczamy je tedy w numerze niniejszym.

Na jednej z tych rycin widzimy wojsko biwakujące na ulicach po stłumieniu buntów; na drugiej oddział piechoty z karabinami w ręku pilnuje mostu, wiodącego do Skatuden, w chwili, gdy już ustała strzelanina; dalsze dwie ilustracye przedstawiają poważne sceny uliczne, jakich pełno można było wówczas widzieć w Sweaborgu — przenoszenie rannych do szpitali i resztek zabitych do cerkwi i kościołów. Jeszcze dwie ostatnie fotografie dają obrazy pogrzebów ofiar krwawych dni sweaborskich buntów: tu duchowny prawosławny wobec oficerów i żołnierzy odprawia egzekwie w przystani; tam wreszcie skrwawioną świeżo ulicą kapelan wojskowy prowadzi na cmentarz kondukt pogrzebowy.

Tragiczne to i wstrząsające swą grozą obrazki. Widać z nich dowodnie, jak prawdziwem jest twierdzenie, że niema nic straszniejszego, jak wojna domowa, jakibykolwiek nawet cel jej przyświecał.




**Echa z Finlandyi:** Z krwawych dni buntu wojskowego w Sweaborgu; pogrzeby ofiar; kapelan wojskowy prowadzi kondukt żałobny. Fot. O. Drankow w Petersburgu.



**Echa z Finlandyi:** Z krwawych dni buntu wojskowego w Sweaborg; przenoszenie do szpitala rannych członków „Czerwonej gwardyi", którzy brali udział w walkach w twierdzy. Fot. O. Drankow w Petersburgu.



**Echa z Finlandyi:** Z krwawych dni buntu wojskowego w Sweaborgu; przenoszenie śmiertelnych resztek ofiar ulicznych. Fot. O. Drankow w Petersburgu.

# Anarchista w Marsylii.

Pomimo energicznych usiłowań i zabiegów wszystkich rządów, w celu zgnębienia i wytępienia anarchistów, ci szaleńcy rosną rokrocznie w liczbę i co pewien czas dają znak życia, objawiający się rzuceniem bomby lub innym zamachem na jakąś ukoronowaną głowę. Obłąkani ci marzyciele nie zdają sobie sprawy z tego, że zgładzenie jednej, a choćby nawet kilku głów ukoronowanych nie wpłynie jeszcze na zmianę stosunków społecznych i politycznych, owszem powiększy tylko zamęt, co się musi odbić na ludności, dla której szczęścia pozornie anarchiści pracują.

Głównem siedliskiem anarchizmu jest Hiszpania, a po niej południowa Francya, zwłaszcza zaś Marsylia. Tam koncentruje się nawet cały ruch anarchistyczny, a policya, mimo wszelkich usiłowań nie może wpaść na trop głównych przedstawicieli i kierowników tego ruchu.

Wkrótce wybiera się do Marsylii prezydent republiki francuskiej.

Ponieważ policya dowiedziała się, że anarchiści planują na niego zamach w tem mieście, przeto zaczęto śledzić i szukać, dopóki nie natrafiono istotnie na ślady podejrzanych przygotowań.

Uwięziono mianowicie pewnego Włocha, szewca z zawodu, nazwiskiem Cirillo, u którego znaleziono mnóstwo przyrządów i materyałów do fabrykacyi bomb zazwyczaj służących anarchistom.

Wprawdzie ów Franciszek Cirillo wypiera się jakiejkolwiek winy i utrzymuje, że nie wiedział, iż tak niebezpieczne przyrządy przechowuje w swym warsztacie, dał mu je bowiem jeden z klientów do przechowania, przyniósłszy trzewiki do naprawy, mimo to aresztowano szewca-anarchistę i toczy się przeciw niemu dalej surowe śledztwo. Policya republikańska jest przekonaną, że ów Włoch przygotowywał po cichu zamach na prezydenta i miał go spełnić w czasie jego pobytu w Marsylii. Fotografia nasza przedstawia właśnie widok skromnego mieszkania i warsztatu Włocha.



**Anarchista w Marsylii:** Odkrycie przygotowań do zamachu dynamitowego na prezydenta Francyi w Marsylii: mieszkanie (×) uwięzionego anarchisty Cirilla, gdzie znaleziono przyrządy do fabrykacyi bomb.

# Ajent policyjny.

**Powieść na tle stosunków amerykańskich.**

Przełożył z angielskiego Joter.

3 Ciąg dalszy.

— Pan jesteś winny!

— Jaki pani ma w tem interes, że się pani o tem chce dowiedzieć, pytam się pani raz jeszcze!

— Dlaczegóż miałabym panu dłużej to ukrywać? — odparło młode dziewczę — Jestem ajentką policyjną i obserwuję pana już od kilku dni. Polecono mi odzyskać papiery wartościowe, które zostały skradzione firmie Morton i Spółka.

— Papiery wartościowe, które zostały skradzione firmie Morton i Ska, to znaczy naszej firmie? — powtórzył Henryk, jakby zbudzony ze snu.

— Tak jest!

— Wielki Boże! Więc firma została okradziona?

— Tak jest!

— Ciekawa rzecz, że ja nic o tem nie wiem! — zawołał młody człowiek z najniewinniejszą miną na świecie.

Uśmiech okrasił usta przebranej kobiety. Obserwowała ona Henryka przeszywającym wzrokiem i wiedziała teraz, że się nie myliła, przypuszczając, iż on nie jest złodziejem. Ale równocześnie obudziło się w niej inne podejrzenie.

— Tak jest! — powtórzyła. — Skradziono firmie z głównej kasy obligacye, wartości pół miliona dolarów, prawdopodobnie w chwili, kiedy kasa była otwarta, a nikt na nią nie zwracał uwagi. Inaczej sobie tego wytłómaczyć nie można. Za złodzieja uważają pana i dlatego jesteś pan od kilku tygodni pod dozorem.

— Wielki Boże! Czyż to możliwe?

— Tak jest! A teraz pozwól mi pan powiedzieć sobie, co ja wnioskuję z pańskiego zachowania się: Pan coś zawiniłeś, ale z tą pospolitą kradzieżą nie masz pan nic wspólnego.

Henryk Wilbert patrzał na nią ciągle, jak człowiek, który nie rozumie. Potem ozwał się, prosząc:

— Niech mi pani wszystko opowie!

— Nie, nie; naprzód niech mi pan opowie swoją winę, a potem usłyszy pan, co ja mam do powiedzenia.

Henryk Wilbert wpatrzył się w młodego Francuza, nic nie mówiąc.

— Nie mam żadnych złych zamiarów wobec pana — ciągnęła dalej Marya. — Możesz się pan wyratować tylko przez to, że mi pan zupełnie zaufasz; wierz mi pan, ja chcę panu dopomódz.

Henryk Wilbert był energicznym, zawsze na sobie polegającym człowiekiem, ale w ogniu tych jasnych, siwych oczu, które na nim tak badawczo, a z taką życzliwością spoczęły, czuł się jakby pozbawiony własnej woli i jakby czemś skrępowany.

Po chwili ozwała się Marya Golling raz jeszcze:

— Powiedz mi pan, coś pan zrobił, żeś pan taki rozstrojony! Powiedz mi pan szczerą prawdę; będziesz pan wyratowany, ale nie możesz pan niczego, absolutnie niczego przemilczeć.

Po chwili wahania wybuchnął Henryk:

— Stara, stara to historya!

— Ślicznie, więc opowiedz mi pan tę starą historyę, może to uratuje pana i pańską matkę!

Słowo „matka“ poruszyło w sercu Henryka najczulsze struny i zmiękczyło go odrazu tak, jak nic innego nie byłoby w stanie go zmiękczyć, zaczął więc:

— Pewnego dnia przyszedł do mnie jeden z moich przyjaciół — zrozpaczony — potrzeba mu było na gwałt dwieście dolarów — prosił, bym ja mu je pożyczył — a ja ich także nie miałem.

— Ah! Widzę już! — szepnęła Marya Golling.

— Przyjaciel mój był zaręczony. Znałem jego narzeczoną, kochałem jego i ją, jak własne rodzeństwo.

— I przychyliłeś się pan do prośby przyjaciela, pożyczając mu to, co do pana nie należało? — spytała Marya z boleścią w łagodnych, siwych oczach.

— Nie usłuchałem odrazu — ciągnął dalej Henryk swoje opowiadanie. — Uległem dopiero wtedy, kiedy mnie zapewnił, że mi będzie mógł po ośmiu dniach zwrócić te pieniądze — miał wtedy otrzymać swoją gażę, ale właśnie potrzebował pieniędzy na gwałt dla ratowania honoru — zresztą była w to wmięszana i dziewczyna. — Miałem pod sobą pieniądze, o których wiedziałem, że zażądają ich odemnie dopiero po tygodniach, może po miesiącach nawet. Minęło kilka tygodni — przyjaciel mój nie pokazał się. Pobiegłem do jego narzeczonej — dowiedziałem się, że zniknął, jak kamień w wodzie.

— To znaczy, że pan wziąłeś firmie dwieście dolarów, inaczej mówiąc, jesteś jej pan winien dwieście dolarów — skinęła głową Marya.

— Gdybyż to tylko dwieście dolarów! — jęknął Henryk zrozpaczony.

— Ileż więc?

— Blisko trzy tysiące!

— Skądże suma ta tak urosła, przecież pan pożyczyłeś przyjacielowi tylko dwieście dolarów!?

— Od zniknięcia mego przyjaciela upłynęło czternaście dni. Szalałem prawie z trwogi, obawiając się wykrycia. Zawsze szedłem wcześnie do domu, zaraz po godzinach urzędowych. Teraz jednak nie miałem ani spokoju, ani spoczynku. Całe noce spędzałem poza domem. Pewnego razu — wszedłem z jednym z przygodnych znajomych do jaskini gry —

— Ach, tak! — szepnęła Marya.

— Widziałem, że wygrywano tam znaczne sumy. Jak błyskawica przebiegł mnie jakiś dziwny prąd. Może i ja wygram — pomyślałem — a wtedy będę mógł firmie zwrócić to, co jej zabrałem. Może sobie pani wyobrazić, co potem nastąpiło. Przegrywałem ciągle i to coraz więcej. Dzisiaj wieczór widziała pani, jak po raz ostatni próbowałem szczęścia. Straciłem ostatnie pieniądze, które zabrałem ze stojącej przedemną kasy, aby nimi módz zarobić tyle, żeby zwrócić wszystko, co wziąłem firmie. Zdecydowałem się więc umrzeć.

— A ja pana wyratowałam.

— Uratowała mnie pani od śmierci, ale czy pani ocali mój honor?

— Potrafię i to.

— Kimże pani jesteś, pytam raz jeszcze?

— Ach, i ja bym mogła powiedzieć, że to stara, stara historya! Pochodzę z ubogiej rodziny urzędniczej, jestem sama na świecie, musiałam więc sama, nie chcąc umrzeć z głodu, zarabiać sobie na chleb. W nieszczęściu zwróciłam się do pewnego starego przyjaciela moich wcześnie zmarłych rodziców, do pewnego urzędnika policyi. On odkrył we mnie talent do zawodu, w jakim teraz pracuję, do zawodu tajnej ajentki policyjnej. **My, kobiety,** w wielu wypadkach oddajemy policyi nieocenione przysługi. Czasami wzdrygam się sama ze wstydu przed moim zawodem, potem jednakże zwycięża i bierze górę dumna świadomość tego, iż jestem dla społeczeństwa pożyteczną i że mu oddaję przysługi wedle sił moich. Wprawdzie tęsknię czasami za spokojem, za ciszą, za kobiecem szczęściem, ale jestem biedna — muszę pracować, a w żadnym innym zawodzie nie mogłabym tak dobrze służyć społeczeństwu, jak w tym. Uczciwym i dobrym można zostać w każdym zawodzie — jeśli się swoje obowiązki wypełnia, czuje się zawsze zadowolenie wewnętrzne.

— Ależ przecież pani wystawia się na najrozmaitsze niebezpieczeństwa w każdym kierunku — ozwał się Henryk.

— To też zabezpieczam się zawsze! Bronić się potrafię! — odparła z pewnością siebie.

— Naprzykład, jakby się pani była potrafiła obronić, gdybym panią dziś w nocy rzucił był do wody? — zapytał prawie szyderczo, rzucając miłosiernem okiem na słabą jej postać.

— O, gdybyś pan był zbrodniarzem, a ja miałam tylko jeden cel na oku, mianowicie uratowanie własnego życia, byłabym się w jednej chwili potrafiła uwolnić od pana.

— Odemnie?

Podniósł w górę swe muskularne ramiona, jakby jej chciał pokazać swoją siłę.

— Tak jest, od pana! — uśmiechnęła się.

— Możeby mi pani powiedziała, w jaki sposób?

Przebrana kobieta podniosła ręce do góry, tak samo, jak on to przedtem uczynił; szybkim ruchem musiała nacisnąć jakąś tajemną sprężynę — Henryk nie wiedział, jak się to stało — ale zobaczył, że z pod pach wyskoczyły jej nagle dwa może na sześć cali długie noże, podobne do sztyletów.

Głosem prawie zupełnie zmienionym ozwała się surowo:

— Mogłabym była jeden z tych nożów wbić panu w samo serce, zanimbyś pan miał czas zbliżyć się ku mnie. Ja się nie boję nikogo!

— Chciałbym panią zobaczyć raz we właściwej postaci! — zawołał mimowoli.

— Nie wiem, czy się to kiedy stanie. Jednak, słuchajże pan teraz —

I opowiedziała mu to, co wiedziała o skradzionych papierach wartościowych.

— A więc ja jestem podejrzany! — rzekł, kiedy skończyła. — Teraz rozumiem, dlaczego Robertson tak pilnie mnie teraz obserwuje.

— Więc to Robertson pana szczególniej obserwował?

— Tak jest. I dlatego myślałem, że on wie o mojej defraudacyi. Nie przeczuwałem przecie nawet, że zostały skradzione papiery wartościowe.

Marya Golling zatopiła się przez chwilę w myślach. Potem spytała nagle:

— Panie Wilbert, czy pan jesteś odważny?

— Tak sądzę, chociaż w ostatnich czasach odwaga mnie trochę zawiodła.

— Gdyby panu dano pieniądze, które pan jesteś winien firmie, czy miałbyś pan odwagę w poczuciu własnej niewinności wystawić się na ciężką próbę, dla dobrego celu?

— Nie rozumiem pani.

Powtórzyła mu to, co powiedziała.

— Jako niewinny mógłbym znieść wszystko.

— Zdecydowałbyś się pan przez pewien czas uchodzić za złodzieja, gdybym pana zapewniła, że pańską niewinność udowodnię?

— Zdecyduję się.

— Przez to złodziej nabierze pewności, a ja zyskam czas, aby zebrać obciążające a pewne dowody.

— Więc pani ma kogoś w podejrzeniu?

— Tak jest.

— A kogo?

— W naszym zawodzie nie mamy zwyczaju zwierzać się z naszemi tajemnicami przed nikim, dopóki nie doprowadzimy do skutku naszego dzieła. Pozwól mi pan sobie tylko powiedzieć, że ja już dużo rzeczy odkryłam, że rzeczywisty złodziej rozpiął koło pana sieć, w którą byś pan był wpadł, gdybym ja z góry nie była wyszła z tego założenia, iż pan jesteś niewinny i nie była sobie postanowiła pana ratować.

— Gdyby nie pani — rzekł z wyrazem bezmiernej wdzięczności — leżałbym teraz na dnie rzeki.

— A w jej falach byłaby zatonęła pamięć o panu, jako też zacne imię pańskiej matki.

— O, niech mi pani o matce nie mówi! Wzdrygam się na samą myśl o tem, coby się z nami o**bojga stało, gdyby nie pani.**

— Nie mówmy o tem na razie! Niech pan rano jak zwykle idzie jutro do banku, a około drugiej niech mnie pan czeka przed bankiem. Wtedy będziesz pan mógł znowu nosić głowę do góry, jak dawniej.

Chciał ją uścisnąć za rękę, ale mu nie pozwoliła, tylko wskazała ręką drzwi.

Jak osołomiony Henryk wyszedł do domu. Chciał się jeszcze o tyle, tyle rzeczy zapytać, ale wstrzymała go wrodzona mu delikatność.

Na drugi dzień stał Wilbert przy swoim biurku, kiedy do banku przyszła pani Brown. Zaczekała w kantorze, aż ją portyer zameldował Mortonowi.

Kiedy weszła do jego gabinetu, zamknęła odrazu za sobą drzwi.

— No cóż? — zapytał Morton zaciekawiony.

— Posunęłam się w tej sprawie bardzo daleko naprzód i wiem już, że pańskie pierwotne przypuszczenie jest prawdziwe. W sprawę tę wmieszana jest kobieta.

— Znalazła ją pani? — spytał Morton naprężony.

— Tak mi się zdaje.

— Młoda czy stara?

— No, nie najmłodsza już.

— Cóż to za jedna?

— Tego panu nie mogę powiedzieć, dopóki się nie dowiem dalszych szczegółów. Mogę panu tylko co do jednej sprawy upewnić, a mianowicie, że papiery jeszcze nie są w obiegu.

— Wprowadza mnie pani w najwyższe zdumienie!

— W najbliższym czasie zdziwisz się pan jeszcze bardziej co do wielu rzeczy — jednak, nie mam już czasu. Spieszy mi się. Mam panu przedłożyć przekaz.

Marya Golling podała bankierowi bilet, napisany doń przez dyrektora Junga.

Franciszek Morton zaczął czytać, ale w trakcie tego czoło coraz bardziej mu się zasępiało.

Dyrektor Jung prosił bankiera, aby tenże wypłacił Maryi Golling jako zaliczkę ewentualnej nagrody 3.000 dolarów. Dyrektor, człowiek wcale bogaty, prosił, aby te trzy tysiące dolarów Morton uważał za udzieloną jemu pożyczkę, którą

w razie nieodszukania skradzionych papierów zobowiązywał mu się sam zwrócić.

Po chwili wahania ozwał się Morton do Maryi, to znaczy raczej do pani Brown:

— Te trzy tysiące dolarów pani wypłacę, ale dalej żadnych zaliczek płacić nie będę. Proszę to sobie zapamiętać. —

O oznaczonej godzinie Henryk Wilbert czekał ajentki policyjnej przed bankiem, tak, jak było umówione.

Wzruszony chodził niecierpliwie po trotoarze, kiedy naraz uczuł, że mu ktoś rękę położył na ramieniu.

Odwrócił się i zobaczył przed sobą tę starą panią, która już dwa razy w banku kazała się zameldować Mortonowi jako pani Brown.

Nieprzyjemnym, piskliwym głosem zaczęła wołać do niego:

— No, młody człowieku, cóż to panu brakuje? Wyglądasz pan tak zmartwiony. Może pana głowa boli? Mam znakomity środek na ból głowy.

Henryk zdumiony wpatrzył się w natrętną babę i odparł surowo:

— Gdybym potrzebował lekarskiej rady od pani, to ja bym pani sam o tem powiedział!

— No, no; nie miałam przecie żadnych złych zamiarów. Widziałam, że pan taki zadumany chodzi tam i z powrotem, sądziłam więc, że panu będę w stanie pomódz.

Henryk zaczął żałować swego zachowania się. Starowina była, jak się zdawało, kobietą poczciwą i lubiącą wiele mówić, ponadto nie widziała w swojem zachowaniu się nic nadzwyczajnego.

— Nie chciałem być niegrzecznym, łaskawa pani — rzekł — ale mnie nic nie brakuje, więc pani mi nic pomódz nie może.

— No, to dobrze; ale może pan będzie tak dobry i pokaże mi tu gdzie jaki tani sklep z konfekcyą damską, bo chciałam kupić trochę podarunków dla swoich.

— W takim razie niech pani idzie prosto tą ulicą, a przy pierwszej przecznicy niech pani skręci na prawo. Tam pani zaraz zobaczy jeden z największych magazynów mody w naszem mieście.

— Nie byłby pan tak łaskaw pokazać mi drogi? Nie mogę się tu jakoś zoryentować.

— Niestety, nie mam czasu, łaskawa pani!

— Ładnie, ładnie — rzekła stara rozczarowana — no, to muszę iść sama.

Henryk Wilbert miał dobre serce. Do drugiej, kiedy miał spotkać tajemniczą nieznajomą, brakowało jeszcze sporo czasu. Rzekł więc po krótkim namyśle:

— Punkt o drugiej mam się tu z kimś spotkać. Jeżeli się pospieszymy, to mogę panią aż pod sam magazyn odprowadzić.

— To ślicznie z pańskiej strony, młody człowieku; jeśli pan jednak jest już tak dobry i uprzejmy, to z pewnością zrobi mi pan jeszcze jedną przyjemność. Mam tu trzy tysiące dolarów, które mam oddać niejakiemu Henrykowi Wilbertowi. Może mi pan pomoże odszukać tego pana!

— Henryka Wilberta?! To ja sam, łaskawa pani! Trzy tysiące dolarów!

W tejże samej chwili przebiegła mu przez mózg dziwna myśl.

— Wielki Boże! — zawołał. — To pani, która mi życie ocaliła, moja dobrodziejka!

Cichy śmiech rozległ się poza ciemnozieloną woalką.

— Tak mi się zdaje — roześmiała się raz jeszcze. — Tu są pieniądze. Urządź się pan tak, aby nikt nie zauważył, że je pan zwracasz.

— Niech panią Bóg nagrodzi! — szepnął Henryk zdławionym prawie głosem, a w oczach zaczęły mu błyszczeć łzy.

— Już dobrze! — broniła się. — A teraz do widzenia! Nikt mnie nie powinien widzieć, rozmawiającej z panem. Za kilka dni będę potrzebowała pańskiej pomocy. Bądźże pan gotów...

Po tych słowach, wypowiedzianych miękkim, cichym głosem, ozwała się znowu nieprzyjemnym, piskliwym tonem:

— Ślicznie dziękuję, kawalerze! — wołała. — Teraz już sama znajdę sobie drogę. Ślicznie dziękuję!

W kilka sekund później Henryk Wilbert stał już sam na ulicy. Pani Brown znikła wśród tłumu. W ręku trzymał pieniądze — były one ratunkiem przed nędzą, hańbą i śmiercią! I wszystko to zawdzięczał tej istocie, której prawdziwej postaci nie znał i nawet domyślić się nie mógł. Nie wiedział, czy była młoda, czy stara, piękna, czy brzydka. Chodził, jakby w śnie pogrążony po ulicach, poczem znowu powrócił do banku. W godzinę później kasa zgadzała się z książkami, a on mógł już z dawną swobodą spojrzeć każdemu w oczy.

Dziwne, zaiste, są zrządzenia losu. Tego samego dnia po południu przyszedł Grzegorz Robertson i w zimnym, urzędowym tonie oświadczył Henrykowi, że chce zrewidować książki, przezeń prowadzone.

Grzegorz Robertson był niegdyś buchalterem w tej firmie, której obecnie został wspólnikiem. Był on znakomitym rachmistrzem, który nie pominął najmniejszego błędu. Byłby więc bezwątpienia odkrył defraudacyę w książkach, których teraz zażądał.



— Tu są pieniądze. Urządź się pan tak, aby nikt nie zauważył, że je pan zwracasz.

Dzięki owej kobiecie, która wyratowała Henryka z największej biedy, młody człowiek mógł teraz swobodnym, pewnym siebie głosem powiedzieć:

— Proszę, panie Robertson, tu są moje książki do pańskiego rozporządzenia.

Robertson zmierzył go zimnym, prawie szyderczym wzrokiem.

Rewizya się skończyła. Książki były we wzorowym porządku.

— Do kata! — ozwał się w kwadrans później Robertson do starego Mortona. — Tego poprostu nie rozumiem! — Książki są prowadzone tak wzorowo, jak tylko można. Mnie nie byłby uszedł najmniejszy nawet błąd, a byłbym przecie przysiągł na to, że on tam popełniał malwersacye.

— Po co mu małe defraudacye? — zauważył Morton. — Kto ukradł pół miliona...

— Tak, ale przecie on się jeszcze nie odważył spieniężyć papierów. Czyś pan jeszcze dotąd nie zdecydował się kazać go aresztować? Zdaje mi się, że pan chcesz go oszczędzać.

— Nie chcę go oszczędzać, chociaż mi żal tego młodego człowieka. Nie uważałem go nigdy za zdolnego do takiego łotrostwa! Sprawa jest w dobrych ręku, możesz pan spokojnie zdać się na mnie.

Z temi słowy rozeszli się obaj szefowie.

Tego samego wieczora Grzegorz Robertson złożył wizytę pewnej damie. Mieszkała ona w najwspanialszej części miasta i przyjęła go w elegancko urządzonym salonie.

Było to zjawisko wspaniałe, niezwykłej piękności. Ale chytry, zimny błysk w szarych oczach, odejmował tej twarzy wszelki powab i wdzięk. Uważny obserwator byłby w jej zewnętrznej elegancyi odkrył pewnie coś, coby go było naprowadziło na myśl, że kobieta ta nie wychowała się w eleganckich sferach, w jakich się teraz obracała.

Grzegorz Robertson przywitał ją uprzejmie. Była to ta sama dama, która w banku uchodziła za jego krewną. Ale sposób, w jaki on zbliżył się ku niej, kazał co innego przypuszczać.

— Gniewasz się na mnie, Julio?

— Naturalnie! — odparła.

Robertson zbladł. Wzrokiem, pełnym bolesnej miłości spojrzał na piękną kobietę i zapytał trwożnie:

— Ależ, aniele ty mój, cóż popełniłem takiego, że zasłużyłem na twój gniew?

— Postępujesz ze mną podle! — wybuchła. — Obiecywałeś mi skarby, bogactwa, które mi chciałeś rzucić do nóg, obiecywałeś mi zrobić wszystko, czego tylko me serce zażąda, jeślibym ci jeno dała moją miłość. I jak dotrzymałeś słowa?! Chcę pieniędzy, dużo pieniędzy!

Mówiąc to, potargała w palcach na strzępki śliczną, koronkami ozdobną chusteczkę do nosa.

— Julio, czy ty masz pojęcie, jaka to suma, którą ci w tym miesiącu ja sam wręczyłem?

— Kilka tysięcy dolarów! I cóż to jest?! Gdybym cię była nie usłuchała i miłość moją ofiarowała komu innemu, byłby mi niejeden miliony rzucił do nóg! Miliony, słyszysz, miliony!

— I miliony dostaniesz i to odemnie, tylko miej jeszcze chwilę cierpliwości, mój skarbie; tak czy tak, nie będzie to już długo trwało! Wkrótce już żadne twe życzenie nie pozostanie niespełnionem!

Podczas, gdy to mówił, do pokoju weszła elegancka, ładna pokojóweczka.

— Któż to jest? — zapytał Robertson zdziwiony.

— Moja nowa pokojówka! — odparła Julia Harrington, rozkazując równocześnie dziewczynie wyjść odrazu z pokoju.

— Przecież tej nigdy jeszcze nie widziałem; od jak dawna jest ona u ciebie?

— Dopiero od dwóch dni.

— Oddal ją natychmiast!

— Dlaczegóż to? — spytała Julia zdumiona.

— Poprostu dlatego, że mi się nie podoba. Na pierwszy rzut oka jest ona dla mnie niesympatyczną, chociaż jest taką ładną i zgrabną. Ja sam nie wiem, dlaczego.

— To śmieszne! — rzekła Julia pogardliwie.

— Może być, że dla ciebie jest to śmieszne! Ale ja sobie stanowczo życzę, ażebyś tę dziewczynę oddaliła!

— I ty myślisz, że ja oddalę najszykowniejszą, najlepszą pokojówkę, jaką miałam kiedykolwiek, jedynie dlatego, że ty czujesz do niej jakąś niczem niewytłómaczoną antypatyę?

Julia roześmiała się szyderczo na cały głos.

— Zdaje mi się, że powinnaś mieć większe względy na moje życzenia, tembardziej, że nie wymagają one od ciebie ani kosztów, ani trudów — ozwał się podrażniony.

— Ależ, Grzegorzu, ja raczej ciebie porzucę, aniżeli tę dziewczynę. Ta wieczna bieda, jaką ustawicznie miałam z memi pokojówkami, nie uśmiecha mi się już. A Łucya jest poprostu nieocenioną! Tak użytecznego, zgrabnego i we wszystkich szczegółach toalety doświadczonego dziewczęcia, nie miałam jeszcze nigdy i pragnęłam zawsze taką dziewczynę dostać. Zaraz po szyku, jaki ma, można poznać, że to Francuzka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Nowe gniazdo sokole.

Drużyny szarych ptaków sokolich rosną z dnia na dzień w liczbę. Nawet w Królestwie, gdzie dotychczas z utęsknieniem spoglądano na naszą dzielnicę, szczycącą się tysiącami karnych sokolich szeregów, w bieżącym roku zatrzepotały nareszcie sokole sztandary, szary ptak rozpiął swe skrzydła do lotu, garnąc pod siebie tysiące młodzieży, jednym przejętej duchem, jedną myślą, która złotą obręczą opasała bez względu na przedziały i granice całą Polskę, stwarzając niby łańcuch obronny ziem wszystkich. Rozwojowi Sokoła w Królestwie przeszkodził jednak zaraz na wstępie niepokój, panujący zresztą w całem cesarstwie, ale idea sokola weszła w duszę milionów i nie zaginie. W Galicyi Sokół rozwija się powoli, lecz stale. Rokrocznie powstaje kilka nowych gniazd, rokrocznie słyszymy o otwarciu nowych sokolni. Taka uroczystość odbyła się w połowie lipca b. r. w Kałuszu.



Fot. Haber, Kałusz.

**Nowe gniazdo sokole:** Chwila z uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę sokolni w Kałuszu.

Kałuskie gniazdo sokole po żmudnej pracy i ciężkich wysiłkach przystąpiło wreszcie do budowy własnego gniazda, a w lipcu odbyło się poświęcenie kamienia węgielnego pod nową sokolnię. W skład wydziału Sokoła kałuskiego, stanowiącego komitet budowy, wchodzą następujący członkowie: Prezes sędzia Kajetan Kosacz, pierwszy wiceprezes dr Wiesenberg, adwokat, drugi wiceprezes inżynier Rybczyński, sekretarz sędzia Michalczewski, gospodarz kancelista powiatowy Haydler, skarbnik budowniczy salinarny Alda, oraz pp. inżynier Langer i sekretarz sądu Göttinger. Grupę członków wydziału zamieszczamy na załączonej obok fotografii.

Budowę sokolni prowadzą inżynierowie Rybczyński i Langer, zupełnie bezinteresownie. Kosztorys wynosi 80.000 koron.

Poświęcenia kamienia węgielnego dokonał proboszcz kałuski, ksiądz Józef Szeligiewicz, w obecności tysięcznej publiczności, przyczem zjechali się włościanie z kolonii mazurskich Landestreu, Podmichale, Kopanki i innych. Z ramienia Związku głównego przybył druh dr Korytko, ze związku okręgowego druh Blauth. Uroczystość rozpoczął pochód Sokołów kałuskich, doliniańskich, stryjskich, ze Skolego, Stanisławowa, Tłumacza i innych sąsiednich gniazd, na nabożeństwo, które odprawił ks. Szeligiewicz. Szanowany powszechnie proboszcz wypowiedział prześliczne, do okoliczności zastosowane kazanie, poczem ruszono na plac budowy, gdzie odbyła się właściwa uroczystość. Załączona obok fotografia przedstawia chwilę, kiedy celebrant ks. Szeligiewicz dokonuje aktu poświęcenia. Po odmówieniu modlitw i skończeniu ceremonii kościelnych wygłoszono kilka podniosłych mów. Pierwszy przemówił ksiądz Szeligiewicz, dalej mówili delegaci i prezes Kosacz, który w barwnych słowach skreślił dzieje i działalność kałuskiego Sokoła, poczem udano się na wspólną ucztę do kasyna, a po niej na festyn do pobliskiego lasku w Podhorkach.

Gmach sokoli jest dzisiaj już na ukończeniu. Główna sala zostanie jeszcze tej jesieni oddana do użytku.

## Kurs pożarnictwa w Ropczycach.

Doświadczenie uczy praktyczności. Widać to najlepiej dzisiaj w Galicyi, w tej Galicyi, w której postęp przedzierać się musi przez dziewicze lasy uprzedzeń, obojętności i krótkowidztwa. Niedawne to czasy przecie, kiedy w Galicyi na wsi ani myśleć nawet nie było można o założeniu straży pożarnej, chociaż pożary wybuchały rokrocznie, wyrządzając ogółem w kraju milionowe szkody. Dziś się czasy zmieniły. Nauczeni smutnem doświadczeniem wieśniacy sami garną się do organizowania straży u siebie, sami się organizują i kształcą w tej ciężkiej, ale pożytecznej służbie. Wielką zasługę około rozbudzenia tego samoobronnego ruchu po wsiach położyły Kółka rolnicze, które ciągle rozwijają energiczną działalność w tym kierunku.

W dniach od 22 do 24 sierpnia br. odbył się w Ropczycach powiatowy kurs pożarnictwa dla uczestników, przyjętych z okolicznych kółek rolniczych. Urządzeniem kursu zajął się specyalny komitet, przy energicznej pomocy ropczyckiej straży ogniowej o-



Fot. Haber, Kałusz.

**Nowe gniazdo sokole:** Grupa członków Wydziału Sokoła w Kałuszu. 1. Prezes Sokoła Kajetan Kosacz. 2. Pierwszy wiceprezes dr. Wiesenberg. 3. Drugi wicepr. Rybczyński. 4. Sekretarz Michalczewski. 5. Gospodarz Haydler. 6. Skarbnik Alda. 7. Inżynier Langier. 8. Sekretarz sądu Göttinger.

chotniczej, a głównie p. Zdziebły i p. Marcelego Bursztyna.

Kierownictwo kursu znajdowało się w ręku fachowców, co stanowi najlepszą rękojmię, że uczestnicy odnieśli zeń duże korzyści instruktorami bowiem byli ludzie, pracujący od lat wielu dla idei straży pożarnych. Dr Hieronim Potok wykładał teoretycznie i praktycznie pierwszą pomoc w nagłych wypadkach podczas ognia. Ponadto wykładali pp. Karol Ruziczka, instruktor Związku straży ogniowych ochotniczych we Lwowie. Józef Sroka, instruktor przy głównym zarządzie kółek rolniczych, Antoni Szczerbowski, sekretarz krajowego związku straży ochotniczych pożarnych. W skład zarządu kursu wchodzili nadto pp. Tadeusz Skołuba, prezes powiatowych kółek rolniczych i dr Bronisław Dulęba, delegat głównego zarządu Kółek rolniczych we Lwowie.

Na ogół kurs wypadł świetnie. Pokaźna liczba uczestników świadczy wymownie, że idea organizowania straży pożarnych w Ropczyckiem roztacza coraz szersze kręgi.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok dwa zdjęcia fotograficzne z kursu pożarnictwa, wykonane przez amatora fotografa p. R. Gajewskiego w Ropczycach. Jedno z nich przedstawia grupę uczestników kursu z pp. zarządcami i instruktorami na czele. Wśród tej grupy znajduje się również starosta ropczycki p. Napadiewicz w uniformie. Grupa ta zdjęta została po uroczystym popisie uczestników kursu. Na drugiej illustracyi widać grono zarządców i instruktorów kursu, o których wspominaliśmy wyżej.



Fot. amatorska R. Gajewskiego w Ropczycach.
**Kurs pożarnictwa w Ropczycach**: Grono zarządców i instruktorów kursu pożarnictwa w Ropczycach. Od strony lewej ku prawej siedzą: 1. Dr. Potok. 2. Tadeusz Skołuba. 3. Dr. Bronisław Dulęba. 4. Antoni Szczerbowski. 5. Karol Ruziczka. 6. Józef Sroka.



Fot. amatorska R. Gajewskiego z Ropczyc.
**Kurs pożarnictwa w Ropczycach**: Uczestnicy kursu pożarnictwa wraz z zarządcami i kierownikami kursu, zebrani po popisie przed strażnicą w Ropczycach.

## Ohydna zbrodnia bandytów w śródmieściu Warszawy.

Pomimo stanu wojennego, w jakim się od kilku miesięcy znajduje Warszawa, pomimo ustawicznych nawoływań, biadań, wreszcie przedsięwzięcia pewnych środków ostrożności i samoobrony, bandytyzm szerzy się w stolicy Królestwa z zastraszającą siłą, a rozbójnicy miejscy, jakby drwiąc z bezradności społeczeństwa i władz, dokonywują niesłychanych zbrodni w biały dzień i to nie na odległych przedmieściach, ale w centrum miasta, w miejscach, gdzie gęsto przesuwają się co chwila patrole piesze i konne. Dnia 30 z. m. dokonano znów zuchwałego napadu na sklep p. Tylbora, posiadającego skład wyrobów tytoniowych przy ulicy Marszałkowskiej pod l. 100, a więc w miejscu może najruchliwszem w Warszawie, bo prawie naprzeciw dworca wiedeńskiego.

Sklep Tylbora połączony był, ze względów samoobrony przed bandytami, zapomocą dzwonków alarmujących z sąsiednim sklepem wyrobów jubilerskich p. S. Jakowiaka. O godzinie 6 wieczorem wtargnęło do sklepu 6 opryszków, z tych 3 z rewolwerami w ręku. Właściciel, p. Tylbor, sparaliżowany od lat kilku, siedział za ladą, zajęty rachunkami; w pobliżu drzwi, przy biurku stał subjekt, 25 letni Baumel. Ten, widząc wchodzących bandytów, zaczął właścicielowi dawać znaki, aby przycisnął dzwonek alarmujący. P. Tylbor zamierzał wszcząć alarm i przechylił się, chcąc przycisnąć guzik, znajdujący się na zewnątrz lady, ale rabusie to spostrzegli i zaczęli strzelać. Po kilkunastu strzałach wyszli najspokojniej ze sklepu i znikli wśród tłumów publiczności. Dopiero po chwili weszło do sklepu kilku ciekawych i odrazu zobaczyli, jaką ohydną zbrodnię tam popełniono. Na podłodze za biurkiem leżały zwłoki Baumela, już stygnące. Biedny subjekt, rażony pięcioma kulami, jedną w samo serce, zakończył życie na miejscu. Za ladą, na krześle, siedział omdlały z bólu, raniony w piersi i ręce p. Tylbor. W sklepie na podłodze i między pudełkami znaleziono 11 kul od browningów. Zwłoki zabitego przewieziono do prosektoryum, p. Tylbora zaś do mieszkania.

Strzały słyszeli subjekci w sklepie Jakowiaka, ale bali się wyjść na ulicę. Słyszał je również patrol wojskowy, stojący o parę kroków, ale nie ruszył się z miejsca, tłómacząc się później tem, że został postawiony dla pilnowania policyanta, od którego odejść nie może. Dopiero w kilkanaście minut potem nadbiegli żołnierze patrolu wędrującego, którzy chcieli strzelać wzdłuż ulicy i jedynie dzięki interwencyi stójkowego zaniechali tego.

I wszystko to działo się o godzinie 6 wieczorem na najruchliwszej i najludniejszej o tym czasie ulicy!

Zamieszczona obok ilustracya przedstawia widok zewnętrzny sklepu p. Tylbora, w którym bandyci spełnili nową zbrodnię.




Fot. zakład J. Raczyńskiego, Warszawa.
**Ohydna zbrodnia bandytów w śródmieściu Warszawy**: Widok sklepu Tylbora przy ulicy Marszałkowskiej Nr. 100, do którego wpadli bandyci i 11 strzałami z browningów zabili subiekta Baumela, a poranili ciężko właściciela sklepu, Tylbora, poczem uszli bezkarnie.

## Manewry cesarskie na Śląsku.

Armia austro węgierska, reprezentowana przez dwa korpusy, krakowski i wiedeński, przystąpiła w ubiegłym tygodniu, jak corocznie, do złożenia egzaminu ze swej sprawności bojowej. W piątek ubiegły zaczęły się w okolicach Cieszyna wielkie manewry cesarskie.

Niegdyś — czasy to już dawne — bywały manewry popisem postawy wojsk, wielką paradą militarną. Obecnie mają nierównie donioślejsze znaczenie.

Celem ich jest dowieść, że wojska usilną pracą zdobyły sobie w czasie pokoju wszystko to, co im się m że przydać w wojnie. Aby dać możność jak najlepszego rozwinięcia zdolności i zabiegów fachowych, pozostawia się w armii austro-węgierskiej zupełną obu stronom przeciwnym swobodę, choćby to doprowadzić miało do wyników, różnych od obrazu, jaki z góry nakreśliło sobie naczelne kierownictwo manewrów.

Miejscem tegorocznych manewrów cesarskich była okolica Cieszyna, pomiędzy prusko-śląską granicą, a pasmem gór Jabłonkowskich. Jest to pas szeroki na blizko 30 kilometrów, sięgający na wschód aż do Bielska, na zachód zaś aż do Mistka. Pod względem taktycznym przestrzeń ta, skutkiem górzystości, daje dobre stanowiska, zaś skutkiem krytego terenu pomyślne warunki dla rozwinięcia i walki wszystkich rodzajów broni.



Fot. dla „Now. Illustrowanych“ aparatem redakcyjnym Wilhelm Fuchs.
**Manewry cesarskie na Śląsku:** Cesarz Franciszek Józef, jadący na koniu, na czele dostojników wojskowych, kierujących akcyą wojsk na terenie manewrów za Cieszynem.

Lepszego pola do manewrów taktycznych nie można sobie życzyć. Dostarczyło ono więc podostatkiem sposobności do pouczających ćwiczeń taktycznych, tak potrzebnych przywódcom zarówno wyższego jak i niższego rzędu. I to jest właśnie głównem zadaniem manewrów. Prosty żołnierz składa w nich tylko próbę swej wytrzymałości, swej wprawy w używaniu broni, swej dyscypliny. Dla oficera natomiast są one uzupełnieniem zawodowego wykształcenia, dostarczając mu pola do praktycznego zastosowania teoretycznych wiadomości.

Manewry śląskie wprowadziły po raz pierwszy niejedno z tego, czego nauczono się dzięki doświadczeniom wojny rosyjsko-japońskiej. Wypróbowane na nich zostały nowe uniformy barwy „khaki“, utrudniające rozpoznanie wojsk w oddali i korpus automobilowy. Wprowadzenie tego korpusu jest innowacyą rzeczywiście doniosłą, wiadomo bowiem, jak wiele zależy w wojnie na szybkiej obsłudze informacyjnej.

Na manewry te przybył we czwartek cesarz Franciszek Józef, który stanął kwaterą w Cieszynie, w zamku arcyksięcia Fryderyka. Na dworcu powitali cesarza burmistrz i zastępca burmistrza miasta Cieszyna w języku niemieckim. I tam odrazu zaznaczył się terror, jaki rozciągają Niemcy nad polską ludnością Śląska. Autonomiczne i rządowe władze śląskie nie dopuściły ani jednego Polaka do udziału w powitaniu monarchy. Udział ten zaznaczył się jedynie przez to, że w orszaku powitalnym znajdowała się również grupka dzieci polskich w polskich strojach narodowych, a jedna z dziewczątek wręczyła monarsze bukiet ze zbożowych kłosów i kwiecia polnego. Zaraz na drugi dzień pojawiły się z tej przyczyny ostre



Fot. specyalnie dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym W. Fuchs.
**Manewry cesarskie na Śląsku:** Przybycie cesarza Franciszka Józefa I. na dworzec cieszyński; w drzwiach widać monarchę, zdążającego ku czekającemu przed dworcem powozowi.

artykuły w kilku pismach polskich, skutkiem tego widocznie podczas przyjęcia przez cesarza reprezentantów polskich gmin powiatu cieszyńskiego, dopuszczono do tego, iż burmistrz Liszny Niżnej, Stanowski, powitał cesarza w języku polskim, na co cesarz również po polsku odpowiedział.

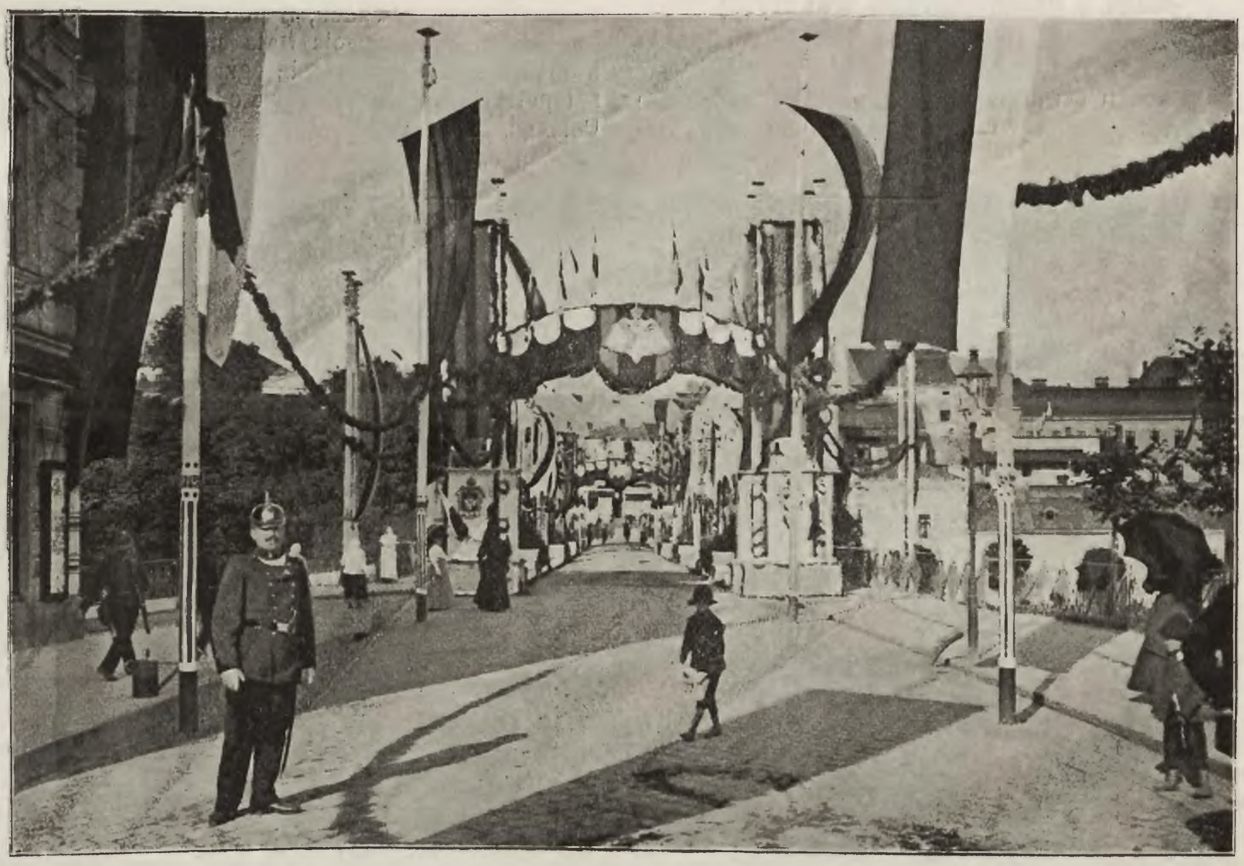
Miasto Cieszyn było na przyjęcie cesarza wspaniale udekorowane chorągwiami i festonami. Zamieszczone w dzisiejszym numerze illustracye dają Czytelnikom pojęcie o wspaniałości tych dekoracyi. Na jednej illustracyi widać bramę tryumfalną, przy której odbyło się pierwsze powitanie monarchy, druga zaś przedstawia ulicę Sachsen-Berg, tak, jak wyglądała w dniu przybycia monarchy. Trzecia illustracya przedstawia chwilę, kiedy monarcha wysiada na dworcu cieszyńskim z pociągu. Na czwartej wreszcie illustracyi widać monarchę na polu manewrów, jadącego na czele wysokich dostojników wojskowych, kierujących manewrami.

Wszystkie te zdjęcia wykonał specyalnie przez naszą redakcyę do Cieszyna wysłany fotograf p. Wilhelm Fuchs.

## Zgon zasłużonego przyrodnika polskiego.

W ubiegłym tygodniu zakończył życie w Rymanowie Zdroju Władysław Zontak, były kustosz generalny muzeum Dzieduszyckich we Lwowie. Śp. Zontak, urodzony w 1829 r. jako syn wieloletniego oficyalisty w dobrach hr. Dzieduszyckich, od najmłodszych lat cieszył się przyjaźnią i zaufaniem niezapomnianego śp. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego. Z zawodu był śp. Zontak wypychaczem zwierząt, ponieważ jednak z biegiem lat nabrał niezwykle bogatych wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych, przeto śp. Włodzimierz Dzieduszycki, zakładając słynne obecnie muzeum przyrodnicze, powierzył mu sporą część zadań, związanych z tem przedsięwzięciem. Z obowiązków swych wywiązał się śp. Zontak znakomicie i przyczynił się nie mało do pomnożenia i uświetnienia cennych zbiorów muzeum. Między innemi jego jest niepodzielną zasługą zdobycie dla tego muzeum słynnego „skarbu Michałkowskiego“. Z powodu tych zasług, w uznaniu dalej za niezwykłą pracowitość zamianowany został śp. Zontak generalnym kustoszem muzeum. Na tem stanowisku spędził zmarły wiele lat, pracując z poświęceniem i wielką gorliwością. Dopiero przed paru laty, po śmierci Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, przeszedł śp. Zontak na emeryturę i zamieszkał stale w Rymanowie-Zdroju.

Z miejscowością tą łączy się również nazwisko zmarłego w sposób dlań wysoce zaszczytny. Mianowicie wspólnie z prof. dr Żulińskim doprowadził on do skutku założenie w Rymanowie kolonii leczniczej dla dziatwy. Tam też, patrząc na piękny rozwój dzieła, do którego założenia przyłożył czynnie swą rękę, patrząc na zastępy wdzięcznej a tak serdecznie przezeń ukochanej dziatwy, zamknął oczy na sen wieczny i tam został pochowany.



Fot. specyalnie dla „Now. Illustr“. aparatem redakcyjnym Wilhelm Fuchs.
**Manewry cesarskie na Śląsku:** Brama tryumfalna, wzniesiona na moście na Olszy w Cieszynie, przy której odbyło się uroczyste powitanie cesarza, przybywającego na kilka dni do stolicy Śląska.

Wiadomość o zgonie śp. Zontaka wywołała w gronie licznych jego przyjaciół i znajomych szczery i ogólny żal, zmarły bowiem cieszył się dla zalet umysłu i serca powszechną czcią i poważaniem. — W uzupełnieniu tej krótkiej pośmiertnej notatki, poświęconej prawemu obywatelowi i opiekunowi młodzieży, zamieszczamy w niniejszym numerze fotografię śp. Zontaka.

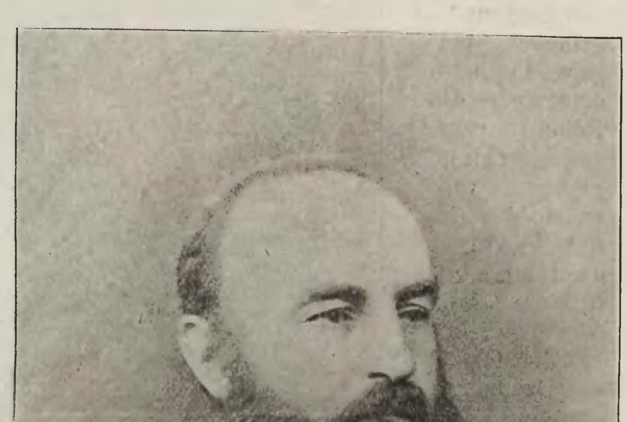


Fot. specyalnie dla „Now. Illustr“. aparatem redakcyjnym Wilhelm Fuchs.
**Manewry cesarskie na Śląsku:** Widok ulicy Sachsenberg w Cieszynie, udekorowanej flagami i festonami na przyjęcie cesarza Franciszka Józefa I, który, przyjechawszy na wielkie manewry, stanął kwaterą w Cieszynie.

## Zjazd księży prefektów w Warszawie.

W wychowaniu młodzieży czynnikiem niezmiernie ważnym jest jasno i dobrze prowadzona nauka religii. Ona to wszczepia we wrażliwe dusze młodzieży najszlachetniejsze porywy i zasady, ona stwarza dla przyszłego społeczeństwa silną podstawę, o którą w ciężkich chwilach życia oprzeć się może każda jednostka, a temsamem naród cały.

Dnia 21 sierpnia rozpoczął się w Warszawie zjazd księży prefektów pod przewodnictwem byłego posła do Dumy ks. Gralewskiego. W zjeździe tym wzięło udział kilkudziesięciu katechetów z całej Polski. Ze względu na ważność obecnej chwili dziejowej, jako też na bliskie rozpoczęcie roku szkolnego w Królestwie, poważne uchwały zjazdu i rezolucye tak znamienitego grona pedagogów duchownych mają dla szkół w Królestwie z najrozmaitszych powodów olbrzymie znaczenie. Przyjęto mianowicie po wysłuchaniu prac komisyi, wybranych przez pierwszy zjazd, szczegółowy program nauki religii dla szkół początkowych wiejskich i miejskich, podział materyału tejże nauki na wszystkie klasy szkół średnich męskich i żeńskich, szczegółowy program dogmatyki i etyki, jakoteż historyi kościoła dla szkół średnich. Są to uchwały w obecnej chwili niezmiernie ważne. Jak wiadomo bowiem, w Petersburgu zatwierdzono przepisy, podane przez zarząd warszawskiego okręgu naukowego, a dozwalające udzielania religii w języku rodzinnym uczniów. Zjazd uchwalił także delegować swoich przedstawicieli na zjazd w Galicyi.



**Zgon zasłużonego przyrodnika polskiego:** Władysław Zontak, były generalny kustosz muzeum przyrodniczego Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego we Lwowie.

Załączona obok illustracya przedstawia grupę członków uczestników zjazdu z ks. Gralewskim, przewodniczącym pośrodku.

## Sokół i polski korpus wakacyjny w Czerniowcach.

Od czasu otwarcia własnego domu polskiego w Czerniowcach zawrzało życie w tamtejszym Sokole. Zasługa to głównie zacnego prezesa Sokoła, druha p. Mokrańskiego.

Widząc, że młodzież polska przez obcowanie z obcemi narodowościami wynaradawia się, a dorósłszy wstępuje do rozmaitych „Vereinów“ i „Burszenszaftów“, p. Mokrański zainicyował i stworzył „korpusy wakacyjne“ dziatwy polskiej. Popis tej dziatwy — dla Polonii czerniowieckiej piękna uroczystość — odbył się w niedzielę dnia 26 b. m. w ogrodzie domu polskiego. Ogród czytelniany przystrojono chorągiewkami i godłami sokolemi. Na zaimprowizowane boisko wkroczyły przy dźwiękach muzyki dzielne zastępy dzieci, przyszłych sokołów, w białych rogatych czapeczkach. Dusza rosła, gdy się patrzyło na karność i precyzyę, z jaką malcy wykonali ćwiczenia. Następnie popisywały się dziewczątka, również w białe rogatywki przystrojone. Ćwiczenia wykonano sprawnie i bez zarzutu. Kulminacyjnym punktem programu były ćwiczenia starszych panienek chorągiewkami pod komendą p. Morysiównej. Ćwiczące były w białych sukienkach, amarantową szarfą przepasanych, w białych rogatywkach, a przodowniczka w sokolim stroju. Potem popisywała się dziatwa. Po pięknej deklamacyi odbył się egzamin z nauki historyi polskiej, poczem dziatwa odśpiewała „Boże coś Polskę“, „Bartoszu“ i „Jeszcze Polska nie zginęła“. Na zakończenie uroczystości pożegnał dziatwę w pięknych słowach zastępca prezesa druh Wejdelek, i podziękował rodzicom, a wskazawszy cel i ideę korpusów wakacyjnych, zachęcał ich do rozwoju starań około tychże, poczem rozdał przodownikom i kierownikom korpusów wakacyjnych nagrody. Również dziatwa otrzymała nagrody, a to książeczkę i obraz Mickiewicza.

Szkoda tylko, że zacny prezes Sokoła, druh Mokrański, który korpusy te stworzył, nie mógł widzieć pięknych rezultatów swego dzieła, gdyż bawił daleko od Czerniowiec, na kuracyi.

Załączona w dzisiejszym numerze illustracya przedstawia grupę dzieci, należąch do korpusów wakacyjnych, z p. Mokrańskim, prezesem Sokoła i twórcą tych korpusów, pośrodku.



Fot. St. Bogacki, Warszawa.

**Zjazd księży prefektów w Warszawie**: Grupa uczestników zjazdu z byłym posłem do Dumy ks. Gralewskim pośrodku.

## Zlot Sokolstwa słowiańskiego w Zagrzebiu.

(Do illustr. str. 3).

W ubiegłym tygodniu odbył się w Zagrzebiu wielki zlot ogólno-słowiańskich Sokołów. Związek Sokoła chorwackiego zaprosił do wzięcia udziału w zlocie i sokół polski, który zaproszenie przyjął i oto w ubiegły czwartek wyjechało z Galicyi przeszło 300 Sokołów do Zagrzebia. Punktem zbornym dla drużyn sokolich ze wszystkich prawie gniazd galicyjskich był Budapeszt. Tam połączyły się wszystkie drużyny w piątek. Korzystając z kilku godzin



Fot. specyalnie dla „Now. Illustr.“ J. Krzanowski w Czerniowcach.

**Sokół i polski korpus wakacyjny w Czerniowcach**: Grupa uczestników korpusów wakacyjnych dziatwy polskiej z prezesem Sokoła czerniowieckiego i twórcą korpusów p. Mokrańskim, oraz kierowniczkami młodzieży.

czasu, Sokoli zwiedzili Budapeszt, między innemi gmach parlamentu, zamek królewski i inne godne zwiedzenia gmachy.

Węgrzy przyjmowali Polaków serdecznie, udzielili im bezpłatnych kwater, wogóle zajęli się nimi jak dobrzy gospodarze gośćmi. W południe w piątek Polacy zwiedzali wyspę Małgorzaty, prześliczny ostrów na Dunaju, gdzie spożyli obiad. Po obiedzie fotograf p. Edward Pierzchalski, wysłany specyalnie na Zlot przez redakcyę naszego pisma, odfotografował grupę wszystkich, połączonych drużyn Sokolich polskich, zdążających do Zagrzebia.

W następnym numerze zamieścimy szereg zdjęć z przebiegu Zlotu w Zagrzebiu.



**Otwarcie V gimnazyum w Krakowie:** Dr. Józef Winkowski, b. dyrektor gimnazyum polskiego w Cieszynie, obecnie dyrektor V gimnazyum w Krakowie.



**Król Edward VII jako kuracyusz:** Edward VII, król angielski, odbywający ranną przechadzkę w słynnej kąpielowej miejscowości w Czechach Maryenbadzie, w której od lat kilku stale przebywa przez kilka tygodni na kuracyi.

## Otwarcie piątego gimnazyum w Krakowie.

Liczba szkół średnich w Galicyi jest zawsze jeszcze nie wystarczającą, wobec wzmagającego się z rokiem każdym napływu młodzieży, żądnej nauki. W Krakowie było dotychczas cztery gimnazya, od września b. r. otwarto piąte, a nowy ten zakład pozyskał odrazu z górą 500 uczniów. Najlepszy to dowód, jak to nowe gimnazyum było potrzebne.

Uroczyste otwarcie nowej szkoły odbyło się we wtorek. Po nabożeństwie młodzież wraz z profesorami udała się do pięknie przystrojonej sali konferencyjnej, gdzie się odbył właściwy akt otwarcia, na który przybyli: z ramienia Rady szkolnej radca dr. German, dyrektorowie krakowskich gimnazyów i szkół realnych z posłem drem Pete-



Fot. dla „Now. Illustr.“ aparatem redakcyjnym.

**Otwarcie V gimnazyum w Krakowie:** Grupa uczestników otwarcia V gimnazyum w Krakowie, zdjęta w sali konferencyjnej, gdzie się odbyła uroczystość. 1. Radca szkolny dr. German, reprezentant Rady szkolnej kraj. 2. Ksiądz prałat Fr. Krupiński. 3. Wiceprezydent miasta Krakowa Michał Chyliński. 4. Dyrektor nowego gimnazyum dr. Józef Winkowski. 5. Dyrektor gimn. św. Anny dr. Leon Kulczyński. 6. Dyrektor szkoły realnej poseł dr. Ignacy Petelenz. 7. Dyrektor gimn. Sobieskiego radca Tomasz Sołtysik. 8. Dyrektor II szkoły realnej Jan Bidziński. 9. Dyrektor gimn. podgórskiego Ignacy Kranz.

lenzem na czele, ksiądz prałat Krupiński, oraz całe grono nauczycielskie nowej szkoły.

Pierwszy zabrał głos radca German, który imieniem namiestnika i Rady szkolnej stosownem przemówieniem otworzył nowy zakład, życząc szczęścia młodzieży w naukach, a gronu nauczycielskiemu z dyrektorem drem Winkowskim na czele w pracy nad wychowaniem tej młodzieży. Dyrektor Winkowski podziękował za życzenia i w dłuższem, ciepłem, serdecznem przemówieniu nawoływał młodzież do pracy.



**Wyspa Robinsona:** Mała wysepka na Oceanie Spokojnym, oddalona o 360 mil morskich od Valparaiso, która podczas trzęsienia ziemi w Chile, została zatopioną tak, że ślad z niej nie pozostał. Na tle przygód marynarza angielskiego, Selkirka, na tej wyspie, osnutą została słynna powieść „Robinson Kruzoe“.

Nowy zakład obejmuje cztery niższe klasy w 11 oddziałach. Klasa pierwsza ma cztery oddziały, klasa druga trzy, trzecia i czwarta zaś po dwa oddziały.

Kierownictwo nowego gimnazyum powierzyła Rada szkolna drowi Józefowi Winkowskiemu, znakomitemu pedagogowi, znanemu w kraju z dzielnego spełniania ciężkich obowiązków dyrektora w gimnazyum polskiem w Cieszynie, tym posterunku tak ważnym dla ruchu narodowego polskiego na Śląsku.

Dyrektor Winkowski urodził się w Tarnowie w roku 1851 z rodziny obywatelskiej. Gimnazyum ukończył w rodzinnem mieście, filozofię zaś w Krakowie i w roku 1875 rozpoczął zawód nauczycielski jako zastępca nauczyciela. Jako rzeczywisty nauczyciel przeniesiony został do Rzeszowa, dalej był profesorem gimnazyum Sobieskiego w Krakowie; w roku 1902 zamianowany został prowizorycznym, a w roku 1905 rzeczywistym dyrektorem gimnazyum polskiego w Cieszynie. Na tem ważnem stanowisku zaskarbił sobie nietylko miłość u wychowanków, ale wdzięczność i uznanie całego społeczeństwa. W bieżącym roku mianowany został dyrektorem piątego gimnazyum w Krakowie i stanowisko to objął od 1 września.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy dzisiaj fotografię dyrektora Winkowskiego i zdjęcie fotograficzne uczestników uroczystości otwarcia, zebranych w sali konferencyjnej nowego gimnazyum, mieszczącego się przy ulicy Stachowskiego l. 5.

## Król Edward VII jako kuracyusz.

Jeden z najtęższych dyplomatów na tronie, wielki rzeczywiście polityk i władca, król angielski, Edward VII, osobistość ze wszech miar sympatyczna, upodobał sobie urocze miejsce kąpielowe w Czechach, Maryenbad, i w ostatnich czasach co roku jest tam stałym gościem.

Na ostatniej liście kuracyuszów, przybyłych do Maryenbadu, figuruje taka pozycya: Nr. 15.905, książę Lancaster z Londynu“. Pod takim skromnym pseudonimem zapisany jest tam władca wszechmożnej Anglii, cesarz Indyj wschodnich itd. itd. Dawniej Edward VII jeździł letnią porą do Hamburga i Ostendy, w ostatnich latach upodobał sobie w górach czeskich, gdzie mu i kuracya służy i pobyt jest znośniejszy, niż w osławionych, rozgłośnych innych „badach“. W Maryenbadzie może wielki monarcha zapomnieć na kilka tygodni o obowiązkach swego powołania i żyć spokojnie i skromnie, zdala od zgiełku wielkomiejskiego, zdala od zamieci prądów politycznych i walk, żyć jak każdy przeciętny dżentelmen.

„Książę Lancaster“ wymawia się od wszelkich honorów. Jedynie w dniu urodzin swego przyjaciela, cesarza Franciszka Józefa I., to jest w dniu 18 sierpnia, występuje w roli właściwej. W małym hotelu „Weimar“ zajmuje tylko jedno piętro. Ma tam salon, pokój stołowy, sypialny, garderobę, łazienkę — i na tem koniec. Jadalnia jest obszerna, tapetowana na błękitno; meble ciemne, dębowe. Salon, a zarazem pracownia króla, to bardzo obszerna komnata; meble w niej mahoniowe, obite czerwoną skórą; podłoga pokryta wspaniałym dywanem smyrneńskim, o żywych motywach. Przy oknie biurko, obok balkon z malowniczym widokiem na lesiste góry i okolicę.

W tych komnatach prowadzi Edward VII żywot nad wyraz skromny i prosty. Wstaje przed 6 zrana i odbywa regularną kuracyę, pijąc wodę mineralną pospołu z innymi kuracyuszami w hali kolumnowej. Pierwszą szklankę wody maryenbadzkiej wypija u siebie w domu, drugą o godzinie 8 u źródła. Potem spaceruje na promenadzie, rozmawiając z kimś ze świty, lub ze znajomym, którego spotka przypadkowo. Po spacerze siada na ławce, dla niego zarezerwowanej i wypoczywa, przysłuchując się doskonałym popisom orkiestry zakładowej. Otacza go zwykle tłum ciekawych, których dyskretnie usuwa miejscowa policya, przybrana w stroje cywilne. Illustracya nasza przedstawia właśnie monarchę angielskiego podczas rannej przechadzki na promenadzie, w towarzystwie ministra Clarke i majora Ponsonby.

Potem następuje śniadanie, następnie dłuższa przechadzka i kąpiel z masażem. Po krótkim wypoczynku król załatwia pilne sprawy państwowe i wtedy telegraf jest w ruchu.

Po drugiem śniadaniu, również bardzo skromnym, następuje przechadzka po zielonych pagórkach, albo przejażdżka samochodem. W drodze w jednej z kawiarń wypija król na werandzie porcyę czarnej kawy z koniakiem. Wieczorem skromny obiad, potem teatr lub koncert, a o godzinie 10 światła w hotelu „Weimar“ są już pogaszone.

Kuracya w Maryenbadzie oddziaływa świetnie na zdrowie Edwarda VII. Niewątpliwie w roku 1907 przybędzie tam znowu.

## Wyspa Robinzona.

Któż z nas, dzieckiem będąc, nie czytał powieści „Robinzon Kruzoe“, któż nie płakał nad losami biednego samotnika na bezludnej wyspie, nie litował się nad Piętaszkiem? Opowiadanie Defoego o Robinzonie zapalało młodą wyobraźnię, podniecało każdego z nas, tak, że nawet w późniejszym wieku obrazy z tej powieści żywo nam stają przed oczyma. Ale zapewne mało kto wiedział, że opowieść o Robinzonie związana jest z maleńką wysepką na zachód od Ameryki, o 360 mil morskich od Valparaiso wśród Oceanu Spokojnego położoną, a zwaną wyspą Robinsona. Trzę-



Według fotografi A. Drankowa w Petersburgu.

**Echa zamachu na Stołypina:** Willa prezydenta gabinetu rosyjskiego Stołypina na wyspie Aptekarskiej w Petersburgu, w kilka godzin po wybuchu bomby, rzuconej przez rewolucyonistów wewnątrz willi, w pokoju przyległym sali przyjęć.

sienie ziemi, które przed kilku dniami nawiedziło południowo zachodnie wybrzeże Ameryki, które zamieniło w perzynę kilkanaście kwitnących miast, a tysiące istnień ludzkich pogrzebało w ruinach zwalonych domostw, rzuciło także w głąb Oceanu tę małą, osnutą poezyą wysepkę Robinzona. Według nadeszłych z Valparaiso wiadomości ze wspaniałej tej wysepki nie pozostało ani śladu. W miejscu, gdzie jeszcze do niedawna natura roztaczała cały swój przepych, gdzie góry i doliny jaśniały w przepysznej wspaniałości wiecznie zielonych lasów, gdzie z pośród bukietów czarownego kwiecia tryskały kryształne źródła, dzisiaj z szumem i hukiem przewalają się fale Oceanu, który jakby na ironię nazwano Spokojnym. Nie pozostało po tej wysepce ani śladu nawet, wszystko pochłonął wiecznie głodny Ocean.

Wyspa Robinzona, której ogólny widok podajemy na załączonej obok rycinie, miała kształt trójkąta o podstawie, sięgającej blizko 13 mil, a wysokości 5 mil morskich. W trzech kierunkach rozciągały się na niej góry, sięgające do 1000 metrów wysokości. Powstała ona kiedyś wskutek wybuchu wulkanu, a znikła, jak zwykle znikają wysepki tego typu, podczas trzęsienia ziemi. Brzegi jej skaliste, pełne cyplów i raf, nie pozwalały zbliżać się ku nim większym okrętom. Nawet łódką trudno się było dostać do brzegu, gdyż fale rozbijały się o nadbrzeżne skały z taką siłą, jakby tam zawsze szalała burza.

Wysepkę tę zaczęła jeszcze w XVI wieku kolonizować Hiszpania, ale z niewiadomych przyczyn wkrótce kolonizacyi zaprzestała. W prześlicznem tem ustroniu żyły jeno całe gromady kóz, które, przywiezione przez odkrywców, wkrótce się ogromnie rozmnożyły. W 17 i 18 wieku żyło na tej wysepce kilkunastu ludzi, po większej części rozbitków okrętowych. Najbardziej znanym z nich jest angielski sternik Aleksander Selkirk, który gnany po prostu żądzą wrażeń i przygód, dobrowolnie przebywał na tej wyspie przez cztery lata i cztery miesiące, mieszkając w grocie, zwanej później jaskinią Robinsona. Codziennie wychodził on na szczyt góry, szukając oczyma żagli okrętowych na bezmiernej toni Oceanu, aż wreszcie w roku 1709 jakiś statek angielski uwolnił go z niewoli. Przygody jego, spisane w dzienniku okrętowym przez jego oswobodziciela, kapitana Rogersa, później ogłoszone drukiem, były zapewne pierwszą pobudką dla Defoego, który w roku 1719 ukończył był znaną wszystkim powieść „Robinzon Kruzoe“. To, co przeżył Selkirk, z biegiem czasu zlało się powoli z tem, co odmalowała bujna fantazya Defoego, tak, że ostatecznie jaskinię, w której mieszkał Selkirk, nazwano jaskinią Robinzona. a później nawet wyspę całą nazwano wyspą Robinzona.

Hiszpania, pod której zwierzchnictwem znajdowała się wyspa Robinzona od najdawniejszych czasów, mało na nią jednakże zwracała uwagi i dopiero w 18 wieku zbudowała tam twierdzę, a przy niej więzienie dla zbrodniarzy. Ustawiczne bunty, jakie wybuchały w tem więzieniu, okropności, jakie się tam rozgrywały, spowodowały, że wyspę tę uważano jakby za wyklętą, tak, że mimo czarującej przyrody i żyzności do ostatnich czasów pozostała prawie niezamieszkaną. Nieliczni mieszkańcy opowiadali sobie przerażające historye i legendy o tem rajskiem zakątku i sami żyli w strachu ustawicznym. A przecie była to wysepka, która oczom podróżnika przedstawiała się jako kraina z bajki, pełna czaru i przepychu. Mały ten światek, ze wszystkiemi swojemi cudami, przed kilku dniami zatonął w głębiach Oceanu.

---

# „Mateczka“.

Powieść współczesna na tle zdarzeń prawdziwych.

**Napisał Bronisław Mazowiecki.**

22 (Ciąg dalszy).

W sali stołowej we dworze ogień strzela na staroświeckim kominku.

Cześ ze Zdzisiem siedzą za stołem, pijąc mleko gorące. Chwilami kłócą się chłopcy o coś między sobą — zwyczajnie jak dzieci.

Wtedy godzi braci stara Teklunia, rozsądzając spór groźny zawsze w taki sposób, iż albo obu chłopcom przyznaje słuszność, albo też nie przyznaje żadnemu, co zawsze ma skutek jednaki: zgodę chwilową.

Dzieciom przykrzy się. Więc poczciwa Teklunia coraz to nowe wymyśla rozrywki, a kiedy jej samej w obecnem przygnębieniu brak już dowcipu i nowych pomysłów, brak nawet ochoty do zabawy chociażby z ukochanemi dziećmi — radzi chłopiętom pójść spać, wieczór bowiem coraz późniejszy, a o powrocie ojca do domu niema co już myśleć.

Ani Zdziś ani Cześ nie chcą jeszcze kłaść się, mimo, że się im kleją błękitne oczęta. Ale Teklunia przyrzeka, że im do snu dawnym zwyczajem śliczną zaśpiewa piosenkę lub cudną opowie bajeczkę... Więc się chłopcy pozwalają wyprowadzić z sali stołowej i zaczynają rozbierać w swoim pokoju, każdy przed swojem łóżeczkiem.

I tutaj ogień pali się jasnym płomieniem na kominku, co chwila głowienka strzela z hałasem, a w czeluściach pieca huczy — jako ten wicher wyjący w koło dworu w swoich harcach ze śnieżycą.

Ułożyły się wreszcie dzieci na posłaniach. Aliści spać nie będą, dopóki im stara klucznica przyrzeczenia nie spełni. Cześ upomina się o piosenkę, którą mu zazwyczaj śpiewała do snu Teklunia, kiedy jeszcze był mniejszy i zasypiał w kołysce... Zdziś znowu nie chce śpiewki, ino prosi o bajeczkę, taką ładną bajeczkę, w której były różne rzeczy, ale z której zapomniał już wszystko.

— Więc ty nie chcesz bajeczki, a ty śpiewki nie chcesz... dobrze, dzieci, ani tego nie będzie, ani tamtego, tylko coś nowego, ale musicie zaraz grzecznie zasnąć, jak babcia skończy... No, słuchajcie cichutko...

Siada Teklunia w głębokim fotelu w pobliżu kominka, przyciemniwszy lampę na stoliku — i powoli dzieciom opowiada w takt zegara głośno tykającego w rogu pokoju na komodzie pod zwierciadłem.

A chłopcy wsłuchani w muzykę słów staruszki, z których mało co mogą zrozumieć — zasypiają powoli bezwiednie...

Klucznica miarowo ciągnie swe opowiadanie:

„Lubo jeszcze ćma w krąg chaty, poszli starzy na Roraty; drobiazg ostał się jedynie podle ognia na kominie.

Strzelaj, ogniu, niby z bata!

Niech się w blaskach skąpie chata, kiedy sobie poszli starzy, patrzeć w siedem jasnych świec... Niech się w domu dzieciom marzy, kędy złotem gore piec, baśń czarowna jakaś cudna, tęczy szczęścia wizya złudna...

Strzelaj, ogniu, niby z bicza!

Już tu sobie gospodarzy dziwna wróżka tajemnicza...

Więc się dzieciom w chacie marzy bajecznego królewicza czarodziejski zamek-dwór...

Szczerozłoty jego mur, siedem okien światłem płonie...

A królewicz sam w koronie na biesiadę sprasza gości do cieknących miodem kruż, gdzie z słoniowej stoją kości stoły pełne rajskich grusz...

A z moździerzy czeladź wali!

Srebrny dach i siedem wież z pereł morskich i korali...

Wróżko z bajki, śpiesz się, śpiesz!

Z siedmiu okien bucha żar...

Strzelaj ogniu niby z bicza, póki ciemność tajemnicza... Rychło dzień — i pryśnie czar!

Niech się dzieciom bajka marzy, póki w blaskach płonie piec.. kiedy z domu poszli starzy patrzeć w siedem rannych świec“...

Umilkła klucznica.

Obaj chłopcy już spali, zanim skończyła staruszka. Cisza wielka zaległa pokój, tylko pryskaniem iskier na kominku przerywana niekiedy.

Zresztą dwór cały pogrążony był w spokoju wieczornym, bo i czeladź już się do snu pokładała, a ten i ów roboty nie dokończywszy, drzemał już nad nią... Taka senność dziwna zaczynała panowanie swoje w ciepłym domu, wokół śniegiem zawianym.

Toż i głowa Tekluni w fotelu przy ogniu zaczęła chwiać się, przyczem powieki coraz bardziej zapadały na znużone oczy.

Gdy wtem drzwi skrzypnęły złowróżbnie, aż się ocknęła znienacka klucznica.

W progu stanął człowiek biały jak widmo, cały zaśnieżony...

Przetarła oczy Teklunia, zerwała się z fotela i podreptała przez pokój cichutko ku niemu, palcem nakazując mu spokój ze względu na śpiące dzieci.

Cofnął się z progu człowiek śniegiem oblepiony. Wyszła za nim klucznica na kurytarz i w twarz mu spojrzała uważnie.

Poznała tego rosłego, jak sosna, parobka.

— Ty od Chocimskich... Nieszczęście jakie... co... mów...

— Wasza pani dziedziczka umiera... mój pan mnie przysłali konno... żeby pani klucznica kazała w te pędy zaprzęgać i przyjeżdżała do nas, coby ile nie za późno...

Teklunia omal że się na głos nie rozpłakała, usłyszawszy wiadomość niespodziewaną od konnego posłańca, ale w porę zdołała nad sobą zapanować, byle dzieci nie rozbudzić.

Od progu wróciła po cichu do ich pokoju, zgasiła przyćmioną lampę, potem poprawiła knotek w oliwnej ampli kolorowej przed obrazem Matki Boskiej, przed jednem i drugiem łóżkiem zatrzymała się, by sprawdzić, czy chłopcy dobrze okryci, poczem westchnąwszy, szepnęła do siebie, spoglądając na odchodnem na śpiące dzieci:

— Biedne wy sierotki... ani to ojca, ani matki...

Nie minęło ani pół godziny, a już klucznica, cała zamatulona przed mrozem i śniegiem, śpieszyła saniami dworskimi w stronę folwarku Chocimskich, których parobek biegł konno przodem wśród ciemności nocnych.

Wiozła z sobą Teklunia własną apteczkę domowych środków wypróbowanych i niezawodnych. Pokładała w nich nieco nadziei, ale mimo to bliską była rozpaczy przez całą drogę, ile razy tylko zastanowiła się nad smutnym stanem biednej pani Edwardowej.

Posłaniec bowiem już jej opowiedział mniejwięcej, jakie to przygody spotkały dziedziczkę, o której Tekla dotychczas nie przypuszczała nic innego nad to, że wprost ze dworu jeszcze przed paru dniami zajechała do Chocimskich wieczorem, a nie wiedziała zrazu o porwaniu jej przez wysłańca Felicyi, Wosinka, który ją wywiózł na folwark do księdza Jana, a już tem mniej o jej podróży stamtąd znowu po nocy do Chocimskich z pomocą Moszka, Felicyi i Wosinka.

Jeszcze nie było północy, gdy starą klucznicę wprowadziła pani Chocimska do pokoju chorej.

Dziedziczka wyglądała na pościeli jak martwa, zdawało się, że lada chwila ostatnie już wyda tchnienie. Leżała nieprzytomna i nie poznała Tekluni, która ze łzami w oczach przystąpiła do łóżka, żeby jeszcze spróbować swoich leków.

Nikt oka nie zmrużył do rana.

Pan Chocimski opowiedział klucznicy, w jakim stanie znalazł panią Edwardową w śniegu, porzuconą przez Wosinka.

Dopiero około południa polepszyło się chorej do tego stopnia, że we wszystkich wstąpiła nadzieja, iż przecież da się może utrzymać ją przy życiu. Dziedziczka poznała klucznicę i słabym głosem spytała o dzieci.

. . . . . . . . . . . . . . .

Moszko wyskoczywszy oknem z płonącego domu — przepadł od razu, ni to kamień w wodę. Daremnie oglądała się za nim Felicya. Nie było go nigdzie.

A na miejscu pożaru zgiełk zrobił się tymczasem wielki. Garstka służby folwarcznej rykiem bydła rozbudzona, wybiegła z obory i dalszych zabudowań gospodarskich. Potracili naraz wszyscy głowy na widok ognia.

Nikt nie śpieszył ratować,

Dopiero furman, który ze dworu przywiózł siostrę Felicyę tej nocy, jął na gwałt wyprowadzać na pole konie i krowy. A czas był na to ostatni, bo nagle dach obory stanął także w ogniu, poczem zaraz i stodoła najbliższa zamieniła się w słup płomienisty.

Wicher szalał bez ustanku, ogień zaś podłożony ze wszech stron, obejmował żywo cały folwark, że nie sposób było przystąpić bliżej do pożaru. O ratunku tedy nie mogło być mowy, tem mniej, ile że ludzi do tego zdolnych jako-tako znajdowało się na miejscu ledwie kilkoro, a ci właśnie ze strachu zdębieli, ręce załamali i dalejże rozpaczać a biadać bezradnie.

Przez ten czas ksiądz Jan, jak z pochodnią w ręce, stał w ogrodzie na boku i nie wypuszczając płonącej głowni z dłoni, przypatrywał się pożodze z uśmiechem ironii na ustach.

Wtem zoczyła go siostra Felicya i natychmiast podbiegła ku niemu.

Waryat spostrzegł jej ruch i skokiem niespodziewanym wypadłszy z za płotu, miał już rzucić się na nią.

(Cięg dalszy nastąpi).

## Zamordowany przez agitatorów.

(Do illustracyi na str. 3).

Anarchia, która powoli do ruiny doprowadza Warszawę, przeniosła się już i na wsie. Spokojni dotychczas chłopi, idąc za przykładem miast, zaczęli również chwytać się terroru, nie szczędząc przytem kul browningowych, które w Królestwie weszły prawie w modę. Ofiarą rozruchów rolnych, wywołanych przez niecnych agitatorów, padł onegdaj młody, bo 20 letni zaledwie praktykant gospodarczy, Roman Kolitowski.

W Wilkowej Woli, w powiecie błońskim, wybuchł onegdaj strejk rolny. Kolitowski, pragnąc zapobiedz szerzeniu się strejku, wyjechał w pole na spotkanie agitatorów strejkowych, których chciał nakłonić do zaniechania agitacyi. W odpowiedzi na to agitatorzy dali kilka strzałów do młodzieńca i położyli go trupem na miejscu.

Śp. Roman Kolitowski, którego portret zamieszczamy obok, liczył, jak wspomnieliśmy wyżej lat zaledwie 20 i z całą siłą młodości rwał się do życia. Był synem właściciela majątku ziemskiego Rumin w powiecie homińskim. Po ukończeniu gimnazyum w Kaliszu, poświęcił się pracy na roli i jako praktykant agronomiczny przebywał w Wilkowej Woli. Złowroga kula browninga, z ręki rozjuszonych agitatorów, przecięła to młode, pełne górnych nadziei życie, zadając matce tragicznie zmarłego młodzieńca niepowetowany cios.

Dziwnym zbiegiem okoliczności zamordowany śp. Kolitowski był bliskim krewnym śp. Stanisława Morawskiego, który padł tego samego dnia od salwy karabinowej na ulicy Świętokrzyskiej, jako niewinna ofiara ulicy. Zwłoki nieszczęśliwego młodzieńca sprowadzono do Warszawy, a pogrzeby wuja i siostrzeńca odbyły się równocześnie.

## Echa zamachu na Stołypina.

(Do illustracyi na str. 18).

Do dziś dnia jeszcze nie przestają na szpaltach prasy rosyjskiej i zagranicznej rozbrzmiewać echa zamachu na premiera gabinetu rosyjskiego.

Według przekonania ministerstwa spraw wewnętrznych, zamach na Stołypina, jak donosi jedno z pism petersburskich, dokonany został przez lotny oddział bojowy socyalistów-rewolucyonistów. Był on oczywiście uplanowany od dawna. Od pewnego czasu w pobliżu willi premiera stale, mniej więcej w tych godzinach, w których Stołypin powracał do domu, albo też wychodził do swoich zajęć, przejeżdżał codziennie samochód. Ochrona prywatna ministra dopatrzyła się w tem jakichś knowań, tembardziej, że owe samochody, koło willi krążące, zwróciły uwagę samego prezesa ministrów. Polecono policyi zatrzymywać każdy przejeżdżający samochód, a w razie nieusłuchania rozkazu strzelać. Tymczasem na dzień przed zamachem samochód już więcej się nie pokazał, natomiast o godzinie 3 po południu, w dniu przyjęć, zajechało lando kryte, zaprzężone w parę koni, a w niem — przyjechali rewolucyoniści, zdecydowani dokonać zamachu. Podobno skłoniła ich do tego wiadomość, że w dzień ten właśnie miało się u Stołypina odbyć posiedzenie „Izby gwiaździstej“, w którem mieli wziąć udział najwybitniejsi tej Izby członkowie, między nimi Pobiedonoscew i Trepow.

Kto jednak wykonał zamach? Jakie stronnictwo obmyśliło go w najdrobniejszych szczegółach? — to pozostaje nadal nierozwiązaną zagadką. Centralny komitet partyi socyalno rewolucyjnej ogłasza z całą stanowczością, że ona nie brała udziału w tym zamachu. Uczestnicy spisku, zdaje się, zginęli i tajemnicę zabrali ze sobą do grobu.

Wyspa Aptekarska, na której znajduje się willa Stołypina, należy do szeregu przepięknych wysepek, rozrzuconych na Newie. Nazwa jej pochodzi od znajdującego się na niej ogrodu botanicznego, założonego przez Piotra Wielkiego dla hodowli ziół aptekarskich. Odległa jest mniej więcej o pół godziny drogi od środka miasta. Willa prezesa ministrów otoczona jest wysokim murem i frontem zwrócona ku wybrzeżom Newy. Dostać się można do niej lekkimi parowcami po Newie lub przez most Troicki.

Załączona obok illustracya, wykonana według fotograficznego zdjęcia O Drankowa w Petersburgu, przedstawia widok willi Stołypina w kilka godzin po zamachu. Przednia ściana jest zupełnie w części środkowej wywalona, co świadczy o niezwykłej sile wybuchu. Okna prawie wszystkie pogruchotane. Patrząc na ten obraz spustoszenia, nie można się dziwić, że tyle ofiar zginęło od bomby, rzuconej w jej wnętrzu. Można sobie bowiem po tym zewnętrznym wyglądzie uzmysłowić, jakie zniszczenie poczynił wybuch we wnętrzu willi i jaka była siła tego wybuchu.

## Zagadki do nagrody.

Ułożył A. Bocsoń, Bóbrka.

I.

O *drugie trzecie* często proces bywa
*Trzecie i pierwsze* Sybir przepływa.
*Trzecie i czwarte* imię męskiego rodzaju,
A *całość* bohater znanego nam kraju.

II.

*Pierwsza* na wodzie widzieć się daje,
*Druga* pod igłą zwykle pozostaje,
*Trzeciej* do sportu znów się używa,
*Wspak* zaś nieznanem pojęciem bywa.
Złóż razem, a będzie *całość*, która
Jest wszystkim znaną z płodności pióra.

### Logogryf.

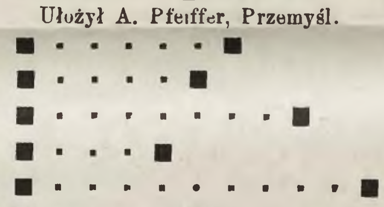
Ułożył M. Rożański, Gorlice.

Ze zgłosek: a, a, a, au, chy, ci, cło, cy, da, do, dy, e, e, e, ei, fa, fi, fi, fir, ge, gna, go, i, i, ich, in, inn, jad, jan, kie, ko, ko, ko, kra, kur, le, lem, lew, lin, lip, ma, mar, me, ment, mi, mor, na, na, nasz, ne, nes, nia, nos, o, pi, pi, ra, re, ro, ru, ry, sa, se, sen, sia, so, sze, sta, sta, sta, sto, te, te, tes, tni, to, ty, u, usz, wa, we, wei, wicz, wicz, wid, wiec, zon — ułożyć 30 wyrazów w ten sposób, aby litery początkowe, czytane z góry na dół, utworzyły tytuły c z t e r e c h powieści, zaś litery końcowe, w tym samym kierunku czytane, t r z e c h powieści znakomitej naszej powieścio-pisarki, Maryi Rodziewiczównej

*Znaczenie wyrazów*: 1. Wyspa na morzu Egejskiem. 2. Brat Prometeusza, zwany ciężkomyślącym. 3. Miasto we Włoszech. 4. Miejsce urodzenia Goethego. 5 Krótkie, misterne wierszyki, w młodej poezyi będące w modzie. 6. Dwa imiona męskie. 7. Filozof grecki. 8. Opłata od towarów sprowadzanych z zagranicy. 9. Roślina w ciepłych krajach 10. Dwa zaimki dzierżawcze. 11. Słynny komedyopisarz grecki. 12. Inaczej sklepienie niebios. 13. Bożek miłości. 14. Kwiat ogrodowy. 15. Słynny wódz ateński, który się odznaczył w wojnie korynckiej. 16. Powieściopisarz polski. 17. Ryba. 18. Imię męskie. 19 Tytuł powieści Gawalewicza. 20. Słynny historyk polski z XVIII w. 21. Poemat Krasińskiego. 22. Imię żeńskie. 23. Słynny król żydowski. 24. Przystanek kolejowy na Bukowinie. 25. Naczynie na kwiat. 26 Jedno z plemion, które zamieszkiwało Syryę. 27. Znakomity atleta współczesny 28. Miasto w Stanach Zjednoczonych. 29. Rzeka w Tyrolu. 30. Miasto, zamieszkałe w starożytności przez osadników kartagińskich.

### Zagadka głoskowa.

Ułożył A. Pfeiffer, Przemyśl.



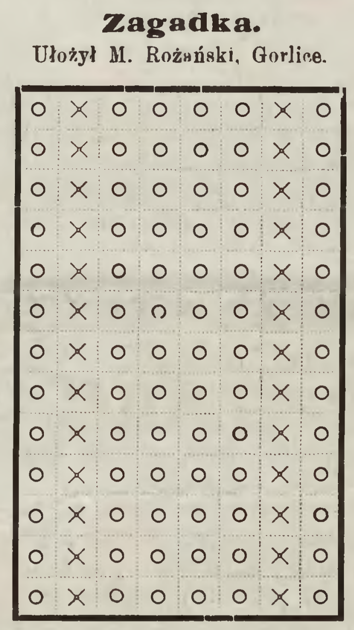
Kwadraty i kropki zastąpić literami w ten sposób, aby kwadraty początkowe, czytane z góry na dół, utworzyły nazwisko znakomiteg komedyopisarza polskiego, a końcowe, czytane z dołu do góry, tytuł jego najcelniejszej komedyi.

*Znaczenie wyrazów*: 1. Szyk bojowy u Greków. 2. Imię męskie. 3. Najmłodszy z trzech słynnych tragików greckich. 4. Uznawanie bóstwa. 5. Słynny rewolucyonista francuski. 6 Gatunek zboża.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: bert, bes, de, des, eu, fa, ga, izm, kisz lan, or, pi, pier, re, ro, ro, ry.

### Zagadka.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.



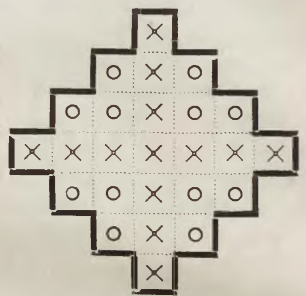
Kółka i gwiazdki zastąpić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane z góry na dół, dały imię i nazwisko znakomitego rysownika polskiego, oraz tytuł jego wspaniałego obrazu.

*Znaczenie wyrazów*: 1. Jarzyna. 2 Komedyopisarz grecki. 3. Sprzęt kuchenny. 4. Imię męskie. 5 Opera Verdi'ego, zaimek wskazujący. 6. Dwa imiona żeńskie. 7. Miasto w Galicyi. 8. Imię męskie słowiańskie. 9. Dwie rzeki, jedna w Galicyi, druga na Węgrzech. 10 Autor „Klonowych liści“. 11. Miasto i rzeka w Czechach. 12. Kwiat ogrodowy. 13. Miasto forteczne w Rosyi.

Dla ułatwienia rozwiązania podajemy obok zgłoski, z których powyższe wyrazy utworzyć należy: a, ba, bo, brze, burg, ca, ci, chy, da, e, er, eu, fa, ga, ger, i, ka, ko, kra, la, lè, lew, ła, na, ni, ni, nia, nos, ny, nyk, o, ów, pa, re, ren, sa, sław, sta, ste. stol, styn, ta, ti, ża.

### Kryptogram.

Ułożył M. Rożański, Gorlice.



Kółka i gwiazdki zastapić literami w ten sposób, aby gwiazdki, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły imię i nazwisko znakomitego kompozytora i pieśniarza polskiego.

*Znaczenie wyrazów*: 1. Spółgłoska. 2. Rzeka w Galicyi. 3. Imię żeńskie zdrobniałe. 4. ? 5. Miasteczko w Galicyi. 6. Liczebnik. 7. Spółgłoska.

### Logogryf.

Ułożył M. Pfeifter, Przemyśl.

Ze zgłosek: a, ab, al, ar, bno, bo, bry, cy, cy, des, dy, dya, dzi, e, en, eu, ga, ge, grzeb, ha, klo, la, lut, łu, man, me, min, mlet, nał, ni, nie, nie, nu, or, pe, pi, ra, rek, ry, ry, se, so, ston, ta, te, tra, u, wiłł, za, zor — ułożyć 17 wyrazów, których litery początkowe i końcowe, czytane z góry na dół, utworzą określenie wypadku, który niedawno wstrząsnął Warszawą.

*Znaczenie wyrazów*: 1. Miasto w Chorwacyi. 2. Inaczej zupełnie, stanowczo. 3. Ciało niebieskie. 4. Instrument muzyczny. 5. Instrument muzyczny. 6. Bohater słynnej tragedyi Szekspira. 7. Utarta nazwa firmamentu. 8. Postać z „Alpuhary“ Mickiewicza. 9. Imię żeńskie 10. Tragik grecki. 11. Poszukiwacze w morzu. 12. Podręcznik wiadomości ze wszystkich dziedzin wiedzy, nauki i sztuki. 13. Książę polski, znany z przysłowia „Panie Kochanku“. 14. Zbrojownia. 15. Miasto w Królestwie Polskiem. 16. Książę litewski. 17. Wyznawca religii rzymsko-kat. na Podlasiu.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza redakcya jako nagrodę 2 funty karmelkow z cukierni A. Piaseckiego w Krakowie.

## Rozwiązanie zagadek z Nru 34.

### Szarady.

**I. Lelewel. — II. Pokora.**

### Logogryf.

Stolik, mydło, osa, lipa, łąka, ocet, Ewa, magnat Eleonora, Delatyn, uczeń, szopa, Antoni, Rybitwa, Icek chata, kosa, Oporto, Lucerna, Islam, rzepak, ucho, rzeka Łaba zwaliska, banan, ornat, oset, szerszeń, zadanie dworzec, wędliny.

### Kryptogram.

W, cis, seler, Wilanów, Mania, sól, w.

Wilanów.

### Zagadka.

Wskutek przeoczenia w drukarni, nie podano w łamigłówce liter, z których należało utworzyć kilka wyrazów. Wobec tego łamigłówki tej rozwiązać nie można. Przepraszając Czytelników za omyłkę, zaznaczamy, że łamigłówkę tę umieścimy w jednym z najbliższych numerów „Now. Illustrowanych“ w całości. **Redakcya.**

*Dobre rozwiązania nadesłali Pp*: M. Pfeiffer Przemyśl, M. Arbesbauer Lwów, B. Ramułtowa Jeżów, Siła Nowiccy Lwów, Fr. Niepokój Krosno, M. Małaczyński Pikułowice, M. Świtlikowa Rzeszów, M. Opolska Czarny Dunajec, A. St. Bassara Niwiska, K. Jurkiewicz Tłumacz, D. Pogłodowski Sudkowice. W. Dziewiński Kraków, H Leligdowicz Fraga, K. Jasiński Kraków, J. Gomulińska Bóbrka, Al. Bocsoń Bóbrka, St. Łaszkiewicz Dębica, E. Bogdalska Koropuż, J. Ramoszyńska Borysław, M. Cetera Dubiecko, H. Mokrzycka Drohobycz, H. Ulrych Malin, J. Haładej Górki, S. Smarzyński Kołomyja, Abonent z Długoszyna, Z. Bogdański Miko, Dr. St. Warmski Turka, Fr. Angielczykowski Lubaczów.

Nagrodę za dobre rozwiązanie otrzymał p. **S. Smarzyński w Kołomyi.** Prosimy o nadesłanie 72 halerzy na koszta przesyłki.